

TAJEMNICE
ZAKŁĘTYCH
REWIRÓW

DLA
DOROSŁYCH

BOHATER
NA OŚLE

ODGŁOSY

ROK XIX NR 34 (976)

19 SIERPNIĄ 1976 r.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

WIETNAM

30 kwietnia 1975 r. siły zwolnicze wkroczyły do Sajgonu. O godz. 11.30 nad Pałacem Prezydenckim załopotala flaga FWM WP. Ostatnia operacja wojskowa, trwająca

WIESŁAW
MACHEJKO

„MAM KWALIFIKACJE
KIEROWCY...”

dziesiątki lat walki o niepodległość i zjednoczenie Wietnamu, była zakończona. Rozpoczęła się dla Wietnamu nowa epoka. Miałem okazję, aby wraz z grupą 50 dziennikarzy i operatorów telewizji z całego świata, reprezentujących różne poglądy i nastawienia, spojrzeć na sprawy wietnamskie niejako od środka, od strony południa. Znaleźliśmy się w Sajgonie w rok po tym, jak na ulicach miasta pojawili się żołnierze Frontu Wyzwolenia Narodowego. Miasto Ho-Chi-Minha wyglądało już inaczej niż wtedy, gdy na jego ulicach koczowało 400 tysięcy bezdomnych ludzi spędzonych tam z okolicznych wsi.

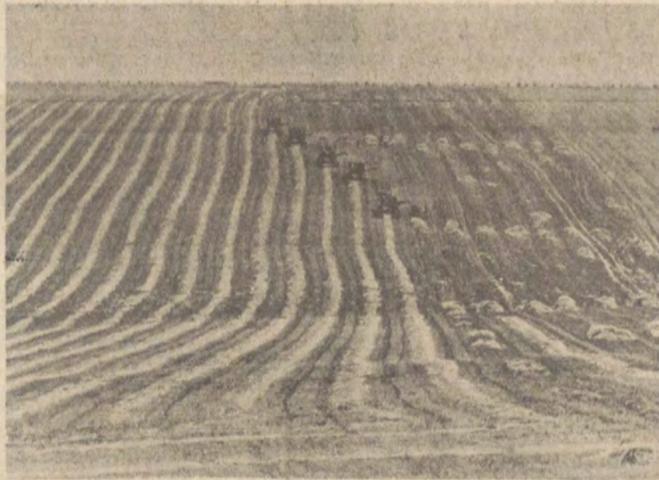
Dalszy ciąg na str. 7



ROLNICTWO

EUGENIUSZ IWANICKI

KROK DO PRZODU



Wies polska starzeje się. Dotyczy to struktury i sposobów gospodarowania. Najdotkliwiej odczuwają to województwa, w których rolnictwo i produkcja żywności stanowi podstawową gałąź gospodarki. Do takich województw należy istniejące zaledwie ponad rok województwo sieradzkie.

1.

Na początek trochę statystyki, bowiem nic nie jest tak obiektywne jak zestawienie suchych cyfr. Województwo sieradzkie zajmuje powierzchnię 4.886 km², z czego na użytki rolne przypada aż 72,9 proc. ogólnej powierzchni (średnia krajowa — 61 proc.). Większość gleb odczuwa deficyt wody, szczególnie w okresie wegetacji roślin. Związane jest to z niedostateczną ilością opadów oraz dużą przepuszczalnością gleb. Według gleboznawczej klasyfikacji gruntów większość gleb zaliczana jest do IV i V klasy, a więc są to gleby nie nadzwyczajne.

Produkcja rolna województwa sieradzkiego koncentruje się głównie w gospodarstwach indywidualnych. Zarejestrowanych jest 74.200 takich gospodarstw, z tym, że przeciętna wielkość

Dalszy ciąg na str. 3

OBYCZAJE

KONRAD TUROWSKI

TAJEMNICE ZAKŁĘTYCH REWIRÓW

HENRYK LUSIAK MA 24 LATA. Jest mechanikiem samochodowym. Przez dwa lata jednak miał pracę nie związaną z tym fachem. Pewnego dnia doszedł do wniosku, że dość ma codziennego brudzenia się w smarach i olejach. Był jeszcze kawalerem, łatwo więc opuścił dom rodziców i ruszył w Polskę. Pracował m. in. przy obsłudze agregatu pralniczego w Koszalinie, później jako komiwojażer rozwijający po kraju plastikowe ozdoby z prywatnej wytwórni w Bydgoszczy, wreszcie został kelnerem na środkowym Wybrzeżu w sezonie letnim 1973...

W opowieści odtworzonej z taśmy magnetofonowej dokonałem jedynie niezbędnych poprawek, starając się zachować autentyczny styl. Relacje przekazuję jako świadectwo pewnej obyczajowości, nieznannej bo niechętnie ujawnianej szerszemu ogółowi. Henryk Lusiak wylamał się z obowiązującej w jego środowisku zasady przestrzegania tajemnicy zakłębionych rewirów.

1.

Kumpel mi powiedział:

— Idź na kelnera, człowieku. W sezonie takie pieniądze! Nauczysz się. W Darłóweku mam znajomka, który prowadzi lokal. On ci wyrtawi zaświadczenie, że u niego pracowałeś...

Pojechaliśmy taksówką. Skulem się. Po raz pierwszy w życiu! Słiwowicę paschalną. Tym się spieszy, to później przez cały tydzień się czuje. Taki ma jakiś zapach i smak.

Ajenty przyjął nas przy stoliku w głębi sali. Przyniósł fiaskę. Kartki nie było widać. Jak strzeżeniem jeden kieliszek, to oczy mi w stóp! Piłszy pod kawior czerwony i węgorski. Zaskoczyłem okrutnie. Jednemu kelnerowi dałem stówę i drugiemu stówę. Powiedziałem, żeby obaj stali przy naszym stoliku. Bo jak nam się zechce pić, to gdzie ich będziemy szukać? Jeden zapytał: — Dlaczego obaj mamy stać? Odpowiedziałem: — A co zrobimy, jak np. pański kolega zasłabnie?...

Dalszy ciąg na str. 6



REPORTAZ ZAGRANICZNY

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

DRUGIE POKOLENIE

Dwadzieścia kilometrów od Stuttgartu znajduje się Ludwigsburg, miasteczko, z którym związany był poeta „rozdartego bytu”, Friedrich Schiller. Miasteczko to zamieniło się z czasem w miasto i jakkolwiek w dalszym ciągu pozostaje satelickim osiedlem Stuttgartu, tętni swoim niezależnym rytmem.

W Ludwigsburgu jest rynek, dwa katolickie kościoły, przepyszny pałac i ogród księcia Wirtembergii, do którego wchodzi się za opłatą; park, rozległy kompleks amerykańskich koszarów, cmentarz, na którego bramie widnieje data 1939—1945, a w środku, obok ukwieconych mogił żołnierzy (co można od błędy zrozumieć) sterczy obelisk symbolizujący cierpienie narodu (czego już zrozumieć nie podobno).

Jest tam również ogromny dom towarowy Marstall Keller, kilkanaście różnych typów knajp oraz, w dolnej części miasta, dzielnica Polaków.

Ludzi tych nigdy bym prawdopodobnie nie spotkał, a jeśli nawet — nie wierzyłem, że są Polakami. Jednakże w przynależnym do Marstall Keller Night Clubie występował akurat muzyk z Łodzi, wieść się o tym rozniosła i Polonia niemiecka zaczęła wieczorami odwiedzać lokal, żeby posłuchać jak śpiewają, i co w ogóle mówią o współczesnej Polsce bracia-rodacy.

Przeprowadziłem z nimi kilka takich mniej więcej dialogów:

- Kiedy przyjechałeś z Polski?
- Przedwczoraj — mówię. — A ty?
- Nigdy.
- Jak to: nigdy?
- Bo się tu urodziłem.
- I mówisz po polsku?
- W domu mówi się po polsku.
- Ale obywatelstwo macie niemieckie.
- Nie.
- Czemu?
- Stary nie chciał.

Dalszy ciąg na str. 5

INFORMACJE

POLSKA KSIĄŻKA ZA GRANICĄ

W każdym roku na półkach księgarskich różnych krajów ukazują się ok. 300 pozycji polskich autorów. W ub. roku, za pośrednictwem ZAIKS i Agencji Autorskiej zawarto 316 porozumień z zagranicznymi wydawcami, w tym 130 z ZSRR, 68 z CSRS, 38 z NRD, 8 z Włoch, 3 umowy podpisano z wydawcami japońskimi. Z klasyków najczęściej tłumaczono Sienkiewicza, Mickiewicza i Prusa, a z pisarzy współczesnych: Wandę Wasilewską, Stanisława Lema, Jarosława Iwaszkiewicza i Arka-dego Fiedera.

„BYŁEM W KRAJU”

Ostatni numer „Panoramy Polskiej” — magazynu ilustrowanego przeznaczonego dla Polonii zagranicznej — zawiera m. in. kolejną porcję wypowiedzi nadesłanych na konkurs pt. „Byłem w kraju”. Liczne wypowiedzi polonijnych gości świadczą o różnorodności ich zainteresowań i serdecznym stosunku do kraju ojców.

FESTIWAL FILMÓW WOJSKOWYCH

W Leningradzie odbędzie się w dniach od 7 do 16 września br. Festiwal Filmów Wojskowych, na którym wytwórnie państw socjalistycznych zaprezentują najnowsze filmy o tematyce społeczno-politycznej i wojskowej. Warszawską Wytwórnię Filmową „Czołówka” pokaże 9 filmów dokumentalnych, m. in. „Układ Warszawski” w reżyserii Janusza Chodnickiewicza, „Apel Zwycięstwa” Zbigniewa E. Szaniawskiego i „Polacy w Partii Zwycięstwa” Włodzimierza Duslewicza.

O OLBRYCHSKIM W „IZWIESTI”

Danielowi Olbrychskiemu i jego znanym w ZSRR kreacjom filmowym poświęcony jest duży artykuł N. Jermolowicza, opublikowany w dziale „Izwestia”. Autor krasząc sylwetkę aktora, pisze także o jego rolaach teatralnych i telewizyjnych, o powożeniu u publiczności, o zainteresowaniu nim producentów zachodnich.

ZBIOROWE WYDANIA „CZYTELNIKA”

Nakładem „Czytelnika” ukazują się w tym roku pierwsze tomy zbiorowych wydań utworów Poli Gojawiczyńskiej, („Dziewczęta z Nowolipki” i „Rajska jabłonia”), Leona Kruczkowskiego („Kordian i cham” i „Pawie pióra”) oraz Tadeusza Brezy „Spisowa brama”. W przyszłym roku „Czytelnik” obiecuje rozpocząć edycję zbiorowych wydań dzieł Niekowskiej i Gałczyńskiego.

GALERIA PORTRETU STAROPOLSKIEGO

W Tubądzinie w woj. sieradzkiej w XIX-wiecznym dworcu, którego odbudowa dobiega końca, założona zostanie stała galeria portretu staropolskiego. Wystawiać się tu będzie również starodruki i meble z XVIII i XIX wieku.

„ARLEKIN” W TEHERANIE

Państwowy Teatr Lalek „Arlekin” z Łodzi w dniu 13 bm. wyjechał do Iranu, gdzie weźmie udział w międzynarodowym festiwalu teatrów lalkowych w Teheranie. Łodzianie zaprezentują tam widowisko pt. „Szewc Kopytko i Kaczor Kwak” oparte na tekście Kornela Makuszyńskiego, w reżyserii Henryka Ryła.

WSPOMNIENIA

LEON DUBICKI

WIOSNĄ 1943 ROKU

Wiosną roku 1943 służyłem w szeregach Armii Radzieckiej. Od jesieni 1942 roku jako kapitan pełniłem obowiązki pomocnika szefa sztabu 761 pułku artylerii ciężkiej Odwodu Naczelnego Dowództwa. Pułk nasz ciągle był w akcji, wspierając swym ogniem poszczególne armie Frontu Zachodniego. W marcu 1943 roku pułk nasz został przydzielony do wzmocnienia artylerii 49 armii radzieckiej, która 8 marca rozpoczęła natarcie na linie obronne 9 armii niemieckiej. 13 marca, podczas zaciętych i krwawych walk w rejonie wsi Strelnoje, zbyt gęsto rozmieszczone punkty obserwacyjne 2 i 3 dywizjonów zostały ostrzelane przez niemiecką artylerię ciężką. Zginęło wówczas wielu oficerów i żołnierzy naszego pułku. Spokojnie pracowałem nad kolejnymi dokumentami bojowymi, gdy nagle zadzwonił telefon. Dowódca pułku ppłk Kuźniecowa, zdenerwowany głosem, rozkazał mi niezwłocznie udać się na punkt obserwacyjny 2 dywizjonu i objąć tam obowiązki dowódcy.

Przez dziewięć następnych dni i nocy trwały krwawe, bardzo wyczerpujące i zacięte walki o poszczególne pagóreczki, kopki krzaków czy inne małe skrawki terenu. Ciągle byłem na punkcie obserwacyjnym i kierowałem ogniem swojego dywizjonu pod gradem kul i pocisków. Wiele razy wespół z podwładnymi przeżyłem piekło niemieckich bombardowań lotniczych lub huraganowego ognia artylerii. Tylko podczas rzadkich przerw w walce mogłem pozwolić sobie na krótki odpoczynek w „budzie” sztabowej wkopanej w skarpe na zapleczu mego punktu obserwacyjnego. Większość moich podwładnych w ogóle nie miała ani czasu, ani możliwości do odpoczynku poza osłiznionymi, zalanyymi brudną mazią okopami wykopanymi, a raczej „wykutymi”, w przemarzniętym gruncie gliniastym. Przemęczenie i wyczerpanie jeszcze w większym stopniu dawały się we znaki piechocie, która dzień w dzień musiała — przy padającym zimnym deszczu lub mokrym śniegu — tarzać się w topniejącym śniegu w bagniskach lub błocie rozmarzniętych łąk i pól.

26 marca 1943 roku pułk nasz został przydzielony do 33 armii i wszedł w skład armijnej grupy artylerii dalekiego działania z zadaniem zalecania artylerii niemieckiej. Po przegrupowaniu przez trzy dni trwała krwawa, zacięta walka o każdy skrawek ziemi. Znów bez wytchnienia walczyliśmy, przemoknięci, zziębnięci, brudni i głodni. Niemcy bronili się zawzięcie. Po ciężkich walkach nad rzeką U-

grą pułk nasz skierowano na odpoczynek.

Do końca kwietnia zajmowaliśmy się uporządkowywaniem i remontem sprzętu bojowego i techniki oraz szkoleniem oficerów i szeregowców przybyłych na uzupełnienie dużych strat poniesionych w poprzednich walkach. Na początku maja, zgodnie z rozkazem dowódcy artylerii Frontu Zachodniego, pułk nasz otrzymał rozkaz szybkiej likwidacji obozu i przygotowania się do przegrupowania transportem kolejowym w pas działania innej armii. Jakiej? Tajemnicą wojskową. Rano 4 maja mój dywizjon pomyślnie dotarł do rejonu wycekiwania położonego w lesie nieopodal stacji kolejowej Wołosta Piatnica, znajdującej się w odległości ok. 220 km na południowy zachód od Moskwy. Z powodu dwukrotnego bombardowania lotniczego stacji znacznie się opóźnił wyjazd kolejnych transportów. Dopiero nocą 9 maja, pod osłoną ciemności załadowaliśmy się do pociągu. Rano 10 maja przybyliśmy na stację kolejową Suchicini. Szybko i sprawnie rozładowaliśmy się.

W tym czasie w dalekiej Moskwie zasłyły wydarzenia, które niebawem miały całkowicie zmienić dalszy tok mego życia. 7 maja na wspólnej naradzie Komitetu Organizacyjnego ZPP i przedstawicieli władz radzieckich ustalono termin i miejsce formowania Wojska Polskiego. 9 maja 1943 r. ogłoszono komunikat Rady Komisarzy Ludowych ZSRR o wyrażeniu zgody na formowanie polskiej dywizji piechoty. Z wielkim wzruszeniem i rozterką przeczytałem ten komunikat. Zrodziła się wtedy myśl o ewentualnym skierowaniu mnie do Wojska Polskiego.

W połowie maja byłem akurat na punkcie obserwacyjnym. Było przytulnie i nawet przyjemnie. Dokoła szumiały sosny. Pogoda była piękna. Nic nie zdradzało okrutnej wojny. W sielankowym nastroju rozpoczęliśmy studiowanie obrony niemieckiej na podstawie szczegółowej mapy rozpoznawczej przygotowanej przez szefa rozpoznania dywizjonu st. lejtenanta Karypanowa. Prowadziłem lotne nożycowca po zielonych polach, lasach i wsiach położonych na południu od rzeki Żydzry, a w myślach wciąż wracałem do sprawy formowania polskiej dywizji piechoty. Ostry dzwonek telefonu wyrwał mnie z zadumy. Dowódca pułku ppłk Kuźniecowa zapytał o sytuację, a następnie zadał mi podchwytliwe pytanie:

— Co ty takiego narozrabiasz, że poszukuje Cię Główny Zarząd Kadry?

Odpowiedziałem, że mam czyste sumienie i do żadnej winy się nie poczuwam.

— Jakże mam „otczestwo”, czyli imię ojca — zapytał Kuźniecowa.

Odpowiedziałem: „To nie ty. Poszukuj Leona syna Bazylego.”

17 maja wezwano mnie na stanowisko dowódcy pułku, gdzie ppłk Kuźniecowa dał mi do przeczytania telegram ze sztabu frontu. Było tam napisane, że 20 maja mam stawić się w Głównym Zarządzie Kadry Armii Radzieckiej. Dowódca pułku był tym zaskoczony.

— No cóż — powiedział — stało się. Przekazuj dywizjon szefowi sztabu kpt. Kononienko.

Dojeżdżając do Moskwy, uważnie wpatrywałem się w szarówkę mglistego poranka. Przed oczyma miałem obrazy zaciętej walki obronnej jesieni 1941 r., w której brałem wówczas aktywny udział. Niebawem pociąg zatrzymał się na dworcu Białoruskim. Jadąc ulicami Moskwy nie zauważyłem już śladów wojennych zniszczeń. O tym, że jest wojna przypomniały tylko działa artylerii przeciwlotniczej, stojące na placach i skwerach. W biurze przepustek GZK skierowano mnie do oddziału kadry jednostek specjalnych i obco-krajowych. Tam wręczono mi plik wszelkiego rodzaju ankiet i formularzy. Po skrupulatnym ich wypełnieniu i napisaniu życiorysu (w trzech egzemplarzach) otrzymałem skierowanie do obozu wojskowego. Wolny czas spędzałem na zwiedzaniu Moskwy.

21 maja 1943 r. zameldowałem się w oddziale specjalnym GZK. W poczekalni spotkałem kilku oficerów czekających na decyzję skierowania ich do oddziału ruchu oporu na terenie Polski lub Czechosłowacji ewentualnie do istniejącej już w ZSRR jednostki czechosłowackiej lub do powstającej polskiej dywizji piechoty. W toku ożywionej wymiany zdań dowiedziałem się wiele ciekawego o działalności partyzantów w kraju i przebiegu formowania naszej, czyli polskiej dywizji oraz o kolejności i sposobie zatwierdzenia sprawy. Niebawem wywołano mnie na rozmowę. Po krótkim wstępie pułkownik zapytał mnie, czy chciałbym służyć w 1 PDP? Pomny rady życiowych kolegów skromnie odpowiedziałem, że chciałbym dalej walczyć z najeźdźcą hitlerowskim będąc w szeregach swego pułku. Jeżeli jednak dowództwo Armii Czerwonej skieruje mnie do Wojska Polskiego, wówczas jako zdyscyplinowany żołnierz, chętnie i z honorem wykonam polecenie i zaszczytny obowią-

zek żołnierski. Moja odpowiedź widocznie się spodobała pułkownikowi, gdyż zaczął tonem zachęcającym namawiać mnie do służby w 1 PDP zaznaczając, że uprzednio skierował już tam ppłk Bewziuka oraz kpt. kpt. Dąbrowskiego i Kumpickiego. W obozie sieleckim będącym miał kolegów po fachu — oficerów artylerzystów. Po zakończeniu rozmowy zaprowadzono mnie do specjalnego laboratorium, gdzie zostałem sfotografowany an face i z profilu oraz zarejestrowano rysopis i znaki szczególne.

Po krótkim wypoczynku zostałem skierowany do innej poczekalni. Ponowne wypełnianie odpowiednich formularzy i pisanie życiorysu zajęło mi sporo czasu. Sporadycznie włączałem się do rozmowy oficerów siedzących koło mnie. W pewnej chwili obok nas przeszedł jakiś generał.

— Kto to jest? — zapytałem. — Generalmajor Zukow, pełnomocnik dowództwa radzieckiego do spraw formowania obco-krajowych jednostek wojskowych na terytorium ZSRR — odpowiedziano mi.

Wtedy usłyszałem historię awansu marszałka Zukowa.

W 1942 roku był on kapitanem i pracował w jednym z wydziałów, zajmującym się organizacją i kierowaniem ruchu oporu na terenach Polski i Czechosłowacji. Pewnej nocy Stalin zatelefonował do Berli i polecił mu zreferować zagadnienia dotyczące działalności partyzanckiej czechosłowackiej. Beria z kolei zatelefonował do szefa wydziału. Telefon odebrał kpt. Zukow i zameldował, że nie wie gdzie jest pułkownik. Na zapytanie Berli — czy jest obecny i potrafi wyczerpująco zreferować sprawę? — odpowiedział twierdząco. Otrzymał wówczas polecenie natychmiastowego stawienia się w ubranii cywilnym. Kpt. Zukow rychło zameldował się u Berli i wspólnie z nim pojechał do Stalina. Na początku audyencji Beria ogólnikowo zreferował sprawę. Następnie Stalin zażądał, aby Zukow, stojący w głębi gabinetu, wyjaśnił mu szczegółowo zakres i rozwój czechosłowackiego ruchu oporu. Beria w lot uprzedził Zukowa i przedstawił go jako pułkownika — szefa wydziału. Stalin był zadowolony z wyjaśnień i żegnając się zwrócił się do Zukowa — „dziękuję towarzyszu pułkownik”. W ciągu jednego wieczoru kpt. Zukow awansował więc do stopnia pułkownika i stanowiska szefa wydziału.

Po obiedzie wróciłem do poczekalni. Czekając na kolejną rozmowę z pułkownikiem z wydziału generała Zukowa. Zadał mi kilka kłopotliwych pytań dotyczących przeszłości. Odpowiadałem na nie prawie mechanicznie. Dotyczyło to dotkliwych przeżyć z okresu jeźdźców. Pułkownik spokojnie i bezbarwnie wyjaśnił konieczność ochrony państwa i zwalczaniu wrogich elementów i dodał, że zawsze i wszędzie mogą być błędy i omyłki. Podkreślił też, że po zreferowaniu naprawiono mi wszystkie krzywdy. Skierowanie

zaś do Polskiej Dywizji Piechoty jest dodatkowym wyróżnieniem i wyrazem zaufania oraz dalszej chęci pomyślnego dla mnie zamknięcia rachunku przeszłości. Bardzo uradowałem się tym i odmeldowałem sprężysto.

Czekając na odprawę końcową, nawiązałem bliższą znajomość z kilkoma oficerami. Szczególnie przyjemnie rozmawiał mi się z kpt. Lachowiczem — pochodzącym z Białorusi, ppor. Naruszewiczem — z Łotwy, ppor. Ginsburgiem — z Brześcia i ppor. Szerszeniem — ze Lwowa. Tworzyliśmy typową reprezentację całości Polonii kresowej. Przyjazna, koleżeńska wymiana zdań została niebawem prz-rwana. Zaproszono wszystkich do sali konferencyjnej, gdzie poinformowano o przebiegu formowania 1 PDP oraz o zadaniach i obowiązkach, jakie mieliśmy spełniać. Po odprawie otrzymałem dokumenty podróży i kopertę zaadresowaną: „Do dowódcy i polskiej dywizji piechoty płk dypl. Zygmunta Berlinga”.

O zmierzchu 21 maja 1943 r. pociąg osobowy Moskwa-Riazań zatrzymał się na malej stacji kolejowej Diwowo. Już z daleka zauważyliśmy polskich żołnierzy ubranych w mundury radzieckie z polskimi naramiennikami i białymi orzełkami na fu-

rażerkach. Naszą grupę spotkał oficer dyżurny z białoczerwoną opaską na rękawie. Chłopak rozmowny i życzliwy. Od razu nam zaproponował udanie się na odpoczynek do wsi Staroletowo, położonej obok stacji Diwowo. Odprowadzając nas do wyznaczonych chat wiejskich chętnie opowiadał o obozie sieleckim, przebiegu formowania dywizji i masowym przyjeździe ochotników ze wszystkich śródlądsk i krańców ZSRR.

Rano 22 maja 1943 r. wtoczyliśmy się do skrzyni sfałgowanego samochodu. Oficer dyżurny sztabu niezwłocznie zameldował naszą grupę adiutantowi dowódcy dywizji kpt. Naszkowskiemu, który powitał nas w imieniu płk Berlinga. Następnie każdego po kolei zapytał o poprzednie stanowisko, miejsce służby i doświadczenie bojowe. Na zakończenie życzył wszystkim pomyślnego służby w Wojsku Polskim. Mnie zaś i kpt. Lachowicza przedstawił szefowi sztabu dywizji płk Siwickiemu, który przez kilkanaście minut przyjaźnie rozmawiał z nami wypytując o pochodzenie, wykształcenie, przebieg służby w Armii Czerwonej i udział w wojnie. Po czym poradził dobrze odpościć i cierpliwie czekać na przydział służbowy. Po obiedzie, w prowizorycznym kasyne oficerskim, zameldowałem się u dowódcy artylerii płk. Bewziuka. Po dłuższej rozmowie oświadczył mi, że w razie zatrzymania mnie do swojej dyspozycji i powierzy czasowe pełnienie obowiązków szefa sztabu artylerii dywizji.

TELEWIZJA

IMPORT A SPRAWA POLSKI

Jest rzeczą zrozumiałą, że część programów polskiej telewizji pochodzi z importu. Dobrze zatem, że mamy możliwość porównania poziomu produkcji innych telewizji z poziomem naszych rodzimych programów. Od jakiegoś czasu na przykład oglądamy NRD-owską tawernę piosenkarzką z udziałem wykonawców z wielu krajów. Program jak program — nierzeczywistym się nie wyróżnia. I o to właśnie chodzi. Nikt nie wybrzydza, recenzenci nie psoczą, nie czepiają się drobiazgowo... Ale wcale nie gorzej — a często i lepsze review rozrywkowe Łodzi czy Warszawy od razu budzą emocje większości piszących o telewizji. Wówczas nie podoba się wszystko — kicha piosenkarzki i krawat piosenkarza, praca kamery i scenografia...

Ale to na marginesie. Import bowiem ma również zalety. Otóż emitujemy u nas filmy czy prezentujemy sztuki, które — chciałoby się powiedzieć — mogły powstać u nas, mówić o naszych sprawach nie poprzez zagraniczny kontekst. Tak było ze sztuką węgierską atakującą niedobre choć typowe obyczaje w szkolnictwie — choć przecież nie tylko o to środowisko chodziło i nie tylko o zjawisko węgierskie.

Nieśmiało nadarł interesujący film radziecki „Wybacz i zgnaj” produkcji „Lenfilm”. W kinie radzieckim mamy wiele wybitnych zjawisk, że wspomnę tylko „Kalinę czerwoną”, „Premię” czy „Sybiraczka”.

„Wybacz i zgnaj” nie należy akurat do tych szczytowych osiągnięć kina radzieckiego lat

ostatnich, ale wart jest on odnotowania jako zjawisko.

Historia jest prosta. Porzuciona przez męża kobieta i wiejski milicjant — dzieje ich miłości i tej miłości kłębka. Niby nic — niby banalna fabułka, ale jak to zostało wzruszające i prawdziwie zrobione. U nas raz tylko odważono się zrobić milicjanta bohaterem filmowego romansu, ale po pierwsze cofnięto się w czasie do początku lat pięćdziesiątych, aby film nie był — broń boże — współczesny, a poza tym był to film niestety nieudany. Mam na myśli płaską komedię „Wiosna panie sierżancie”.

Wiele radości i materiału do refleksji dała też nam amerykańska sztuka Thurbera i Nugenta „Prawdziwy mężczyzna”. Tym razem mogliśmy żałować, że nikt w Polsce nie wystawił sztuki, w której problem durnego stosunku do sportu i wybaczeń w tej sferze — działania ludzkiego byłoby oparte o nasze polskie doświadczenia. A prze-

cież mamy w tej mierze ogromnie dużo materiału. Wystarczy poczytać gazety.

Obecnie wszedł na ekrany telewizorów nowy serial radiotelewizyjny o charakterze społeczno-obyczajowym pt. „Gorące serce”. Film osadzony głęboko w realiach współczesności ukazuje życie wielkiego zakładu przemysłowego. „Znamy, znamy — zawołają telewizywiści — my też mieliśmy serial „Dyrektorzy”. Owszem, mieliśmy, ale minęło sporo czasu, „Dyrektorzy” są już dziś pozycją klasyczną, a następnych filmów tej klasy nadal brak. Więc i ów radziecki serial przypomina nam o tej luce. Zwłaszcza, że jest to film żywy, w którym ludzie są tacy jacy są — nie tylko pracują, ale mają swoje osobiste życie.

Do podobnych refleksji skłania Justowskiński dramat psychologiczno-obyczajowy pt. „Piosenkarzka z tawerny”. Jest to historia miłości młodego robotnika i uwodzicielskiej kawiarnianej piosenkarzki. Tłem

opowieści jest natomiast celnie podpatrzone środowisko budowniczych wielkiej zapory wodnej na Dunaju.

A my? Zbudowaliśmy Port Północny, zbudowaliśmy zapórę w Solinie, budujemy Hutę Katowice... Ale nasza telewizja ofiarowała budowniczym Huty tylko program „Twórcy — twórców” — nieudaną rewiew gwiazdeczek oraz codzienne meldunki z budowy. Nie zanosi się jednak jakoś na ambitny film opowiadający w sposób prawdziwy o trudzie i osobistych perypetiach ludzi, którzy miesiącami oderwani od rodzin tworzą Wielką Rzecz nieraz kosztem swych osobistych spraw.

Tak więc importując filmy i sztuki — telewizja wciąż przypomina odbiorcom, że istnieją całe obszary nie zagospodarowane jeszcze przez programy rodzime. Import zatem skłania nas do refleksji nad polską problematyką. Dobrze i to.

TELEMAN

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WISŁAW JAŹDZYNSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).
Stałe współpracujące: ANDRZEJ BIAŁER ANDRZEJ NACZELNIK, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

Dalszy ciąg ze str. 1

gospodarstwa indywidualnego wynosi 5,2 ha. Jako reguła, zatrudniająca właściwy rozwój produkcji rolnej, jest ogromne rozdrobnienie gruntów. Przeciętnie na jedno gospodarstwo indywidualne składa się cztery działki, lecz każda gdzie indziej. Same między zajmują około 5 proc. dobrej, lecz leżącej odległości ziemi.

Innym, niezwykle ważnym problemem, wymagającym szybkiego rozwiązania, jest niewłaściwe gospodarowanie niektórymi właścicielami gospodarstw indywidualnych. Najczęściej wynika to z podeszłego wieku rolników, długotrwałych chorób oraz odchodzenia młodzieży do przemysłu.

W wyniku powszechnego przeglądu gmin i wiosennej kontroli wykorzystania gruntów, stwierdzono, że na terenie województwa sieradzkiego znajduje się aż 5.493 ha gruntów źle lub w ogóle nie zagospodarowanych. Najwięcej ziemi leżącej odłogiem, będącej ugorami lub zaniedbaną znajduje się w gminach Zadim, Szadek, Zapolice, Złoczew, Sieradz, Siemkowice, Buczek, Zduńska Wola, Wieluń i Łask.

Reakcja władz była natychmiastowa: znaczna część tych gruntów już w czasie przeglądu została obsiana przede wszystkim roślinami pastewnymi na zielonkę. Pozostałe, prawie 1.000 ha wymagają poważnych nakładów inwestycyjnych. By racjonalnie je zagospodarować musi być przeprowadzona melioracja, odkrzaczenie oraz inne, niezbędne zabiegi. W sumie około 4.500 ha użytków rolnych jest obecnie przedmiotem intensywnego działania służby rolnej. Zapewniono stały nadzór ze strony fachowców od rolnictwa, którzy uczą gospodarzy prawidłowego nawożenia, podstawowych zasad agrotechnicznych, racjonalnego zmiarowania, a także właściwego doboru gatunków i odmian roślin uprawnych.

Oczywiście, w dobie powszechnej agrotechnizacji w rolnictwie, ogromna odpowiedzialność spoczywa na operatywności nie tylko służb rolnych w gminach, ale i na dobrej pracy organizacyjnej naczelników poszczególnych gmin. Kiedy prosiłem zastępcę dyrektora Wydziału Rolnictwa, Leśnictwa i Skupu Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu — inż. Józefa Jankowskiego, by wymienił mi tych naczelników gmin i tych kierowników służby rolnej, którzy włożyli największy wkład w zagospodarowanie odłogów, długo wertował dokumenty, namyślał się, analizował.

— U nas — powiedział — ludzie chcą pracować, bowiem ci, którzy zwolnili tempo badań na moment, muszą odejść. Chcemy, aby w najbliższym czasie nie było przystawionej piędy ziemi pozostawionej samej sobie i nie obsianej. A ci najlepsi? Ot, choćby naczelnik miasta i gminy w Złoczewie inż. Czesław Pędziwiatr, Julian Bartodziej z Czarnożył, Jan Zenon Osunek z Konopnicy, Edward Gabara z Sieradza, inż. Stanisław Kowalczyk z Warty czy Stanisław Mielczarek z Szadku. Zresztą entuzjastów w województwie jest więcej, przecież otrzymaliśmy wielką szansę, staliśmy się równoprawnym partnerem pozostałych 48 województw i nie możemy pozostać w tyle. W ciągu tego roku zrobiliśmy wiele, ale do zrobienia pozostało jeszcze więcej.

W trakcie przeglądu ujawniono, że w br. należy przejąć na rzecz skarbu państwa 813 gospodarstw, aby zapobiec procesowi ich całkowitej recesji. A jest to niebagatelny problem, bowiem na lata 1977—80 przewiduje się dalsze przejęcie 4.088 gospodarstw, co w sumie stanowi 24.128 ha ziemi! Ziemia przejęta od rolników zostanie przekazana jednostkom gospodarki uspołecznionej lub wydzierżawiona spółkom rolniczym.

Odrebnym zagadnieniem ujawnionym w czasie powszechnego przeglądu gmin jest problem zdewastowanych gruntów i nieużytków wymagających rekultywacji. Jest ich w województwie sieradzkim 1.044 ha. Przewiduje się, że poważnym nakładem pracy i kosztów te grunty zostaną zagospodarowane do roku 1980. Zależy jednak niezbędna konieczność przejęcia przez państwo większych powierzchni nieużytków zwłaszcza w gminach Goszezanów, Konopnicy, Sędziejów, Warty, Skomlina, Zduńskiej Woli, Złoczewa i Łasku oraz gruntów zdewastowanych (torfowiska i doły po glinie).

Przejmowanie gruntów na rzecz skarbu państwa następuje dość dużo kłopotów. Wspominałem, że przeciętnie gospodarstwa indywidualne składają się z czterech działek leżących od siebie nieraz w znacznych odległościach. Ale co zrobić jeśli rolnik posiada te swoje 5 ha w 15—20 kawałkach? Problem scalania nie jest ani łatwy, ani prosty. Chłopi są przywiązani do swojej ziemi, do tych nawet ugorów i glinianek, do piaszczystych łąk, na których porasta karłowate żyto. Inż. Józef Jankowski nie kryje niepokojów: scalanie jest koniecznością, jest racją istnienia dobrej, nowoczesnej gospodarki.

— Będziemy scalać — mówi. — Ale to scalanie będzie formą pewnej wymiany: rolnik zamienia rozdrobnionych kawałków ziemi otrzyma wszystko w jednym, często może nawet ziemię o wyższej klasie. Oczywiście mam na myśli tych rolników, którzy będą mogli prowadzić nowoczesne, zmechanizowane, wysoko wydajne gospodarstwa. W dzisiejszym przemyśle rolnym nie ma miejsca tak na karłowate i małe polećka, jak i na karłowate i nieopłacalne hodowle i uprawy.

4. Odrebnym problemem województwa jest Jeziorsko, to przyszłe zagłębie hodowlane; stąd będzie szło bydło rzeźne do ubojni, a mleko do przetwórci mleczarskich. Jeziorsko — to przede wszystkim zbiornik wodny, potrzebny rezerwat zaopatrujący w wodę grunty leżące w promieniu 8—10 km. Na terenie województwa sieradzkiego znajduje się 95 proc. obszaru zbiornika, reszta leży w województwach konińskim i poznańskim toteż sieradzkiemu przypadnie w udziale zagospodarowanie 4.800 ha ziemi. Jednakże nie ma obecnie możliwości wyko-

mniejsze niż 15—20 ha, gospodarstwa zmechanizowane, ukierunkowane produkcyjnie. Natomiast państwowe kompleksy gospodarcze (4 lub 5) będą miały po 600 ha ziemi, na których staną nowoczesne i zmechanizowane obory za sumę 110 mln zł., mieszczące po 1.500 sztuk bydła. Takich obór powstanie pięć, bowiem plan zakłada, że już w 1981 r. sieradzkie przekaże do przerobu w Jeziorska 24 mln litrów mleka. W części wschodniej, gdzie grunty są gorsze, pobuduje się podobne obory dla owiec. A więc skóry i mięso, wełna i mleko.

5. Złoczew: 19 sołectw, 8.080 ha ziemi, 1.530 gospodarstw od 2 do 5 ha, jedna Spółdzielnia Kółek Rolniczych, ani jednego zakładu przemysłowego — słowem typowy wycinek województwa sieradzkiego z jego problemami i trudnościami. Ale Złoczew zawsze miał szczęście do dobrych gospodarzy. Teraz także na czele Komitetu Miejsko-Gminnego PZPR stoi Zenon Pawlik, entuzjasta rolnictwa i jego znawca, naczelnikiem Miasta i Gmi-

grunty te nie podziwnią się, zostaną przejęte na skarb państwa.

Przejmowane grunty są natychmiast przekazywane innym użytkownikom: Spółdzielni Kółek Rolniczych, lasom państwowym, wydzierżawia się je użytkownikom indywidualnym. Jak ważną i pilną sprawą jest przejmowanie gruntów, niech świadczy przykład wsi Gronówek gdzie przejęto już 40 proc. ziemi. Wraz z przejmowaniem idzie wymiana, bowiem nie sposób połączyć wszystkie grunty w jedną całość. Gospodarze Gminy Złoczew pracują z wielką ostrożnością i roztropnością: przydział gruntów z wymiany z reguły posiada tę samą klasę ziemi, co zapobiega rozgorączczeniu i niesnaskom. W przyszłym roku zostaną połączone ziemie dwóch wsi leżących obok siebie: Uników i Wandalin. Samo zlikwidowanie miedzi, stanowiącej 5 proc. użytków rolnych da dodatkowe hektary do obsiania. Gmina Złoczew, podobnie jak całe województwo jest nastawiona na hodowlę trzody chlewnej oraz bydła mlecznego.

6. Inicjatywą godną rozpowszechnienia jest zawiązywanie się spółek hodowlanych na wsiach. Gospodarze Gminy Złoczew kilkakrotnie powracali w rozmowie do tej sprawy. Wydaje mi się, że na obecnym etapie rozwoju wsi polskiej jest to jeden z właściwych kierunków gospodarki indywidualnej. Takie spółki są we wsi Brozki, gdzie na sto hektarów użytków rolnych jest 98 sztuk bydła, oraz we wsi Kamasz, w których hodowla trzody chlewnej osiągnęła jeszcze wyższy wskaźnik — 280 sztuk!

Zarówno sekretarz Zenon Pawlik jak i naczelnik inż. Czesław Pędziwiatr gorąco mnie namawiali do odwiedzenia przodujących hodowców we wsi Kamasz.

— Tam dopiero widać — mówili — do czego można dojść przy umiejętnej i racjonalnej wykorzystaniu sił i środków. To już nie są chłopi w tradycyjnym pojęciu, to producenci!

Kiedy skwarnym popołudniem jechałem przez wieś Kamasz, widziałem spoza zieleni drzew czerwone budynki domów i stodoł. Bogata wieś, zadbaną. Jeszcze nie tak dawno dominowały tu strzechy, dziś wieś Kamasz coraz bardziej się uwspółcześnia, zmienia się nie tylko zewnętrznie, ale jej mieszkańcy zmieniają odwieczny sposób myślenia, podlegają do najlepszych gospodarzy w swoim województwie.

Trzy lata temu Jerzy Sagan, Edward Matuszek i Henryk Mosina założyli spółkę hodowlaną, SKR dała im ciągnik, który stał się niezbędną pomocą przy zwózce karmy, materiałowi budowlanych, zagospodarowaniu gruntów ornych. Przez te lata, każdy z udziałowców wybudował dla potrzeb własnej hodowli budynki inwentarsko-składowe (chlewnie, stodoły), niektórzy postawili nowe murowane domy. O wielkości chlewni może świadczyć fakt, że do ich budowy zużyto co najmniej 40.000 sztuk cegły!

W obliczu Jerzego Sagana o tej porze jest cicho: jeszcze nie pora na karmienie. Jerzy Sagan gospodarzy na 6 ha, z czego gruntów ornych jest 4,5 ha. W chlewni znajduje się 40 świni (w tym roku już odstawił 23 sztuki) 3 krowy, 2 jałowki. Do końca roku odwiezie na punkt skupu dalszych 21 sztuk świni i czterysta kilogramowego knura. Konia sprzedał, teraz ciągnik załatwia wszystko. Paszę otrzymuje z GS, reszta swojej, do tego co trzeci dzień przywozi z mleczarni dwie beczki 600 litrowe serwatki. Pracuje z żoną, dziećmi są jeszcze za małe, a dziadkowie już za starzy.

Kiedy zajeżdżam na podwórze Edwarda Matuszka trwam przegląd ciągnika. Tu także spotykam trzeciego udziałowca, Henryka Mosinę. Oglądam wzorowo prowadzoną hodowlę, w bokach pełno podhodowanych prosiąt. Edward Matuszek jest zadowolony ze swoich osiągnięć. Trzody posiada sto sztuk, a przeciętne już w tym roku sprzedał państwu sześć ton mięsa! Obliczył, że na koniec roku wyjdzie mu 1 tona mięsa z hektara. Kiedyś miał dwa konie, teraz pozostał jeden, a i tego pozbedzie się lada dzień.

— Traktor — mówi — to jest dopiero sztuka! Starca za dziesięć koni!

— A gdyby tak więcej maszyn — przerywa Henryk Mosina — snopowiązelek, roztrzaskacze czy rozrzućniki obronka, jeszcze z jeden ciągnik, nasza hodowla podwoiłaby się w ciągu roku. Ja mam teraz w chlewni 56 świni, 11 odstawiłem na punkt skupu, resztę 35 odstawię na jesieni. No i sprzedałem jednego wołca.

— Bo prawda jest taka — przerywa mu Edward Matuszek — myśmy zrobili ten pierwszy krok do przodu. Inni pójdą za nami. Bo temu zawsze leży, kto plynie z prądem.

Opuszczając wieś Kamasz dowiedziałem się, że już zawiązała się nowa spółka hodowlana: bracia Witkowsy oraz Józef Kusiał zwrócili się do naczelnika gminy oraz do SKR o pomoc. A znając plany i zamierzenia władz lokalnych i wojewódzkich, pomoc takową na pewno otrzymają.

KROK do przodu



Foto: Archiwum

rzystania wód Jeziorska w formie reńcyjnej, powstała więc koncepcja wykorzystania tych wód w formie deszczownia i przymusowego przetransportowywania, a później grawitacyjnego nawadniania użytków rolnych. Będą to przede wszystkim grunty państwowe lub gospodarstw uspołecznionych. Obecnie w obszarze Jeziorska znajduje się około 1.500 ha gruntów państwowych, a do roku 1980 zostanie przejętych od rolników indywidualnych dalsze 3.000 ha. Według obliczeń łącznie zostanie zmellorowanych około 18.000 ha, co pozwoli na prowadzenie na szeroka skalę hodowli bydła oraz rozwinięcie upraw warzywniczych. Zanim jednak do tego dojdzie, trzeba będzie wykupić lub przejąć na skarb państwa grunty chłopskie; drobne, porzucane, poprzdzielane miedziami i polnymi drogami. Obok scalania będzie się prowadziło akcje wymiany, bowiem zakłada się, że rację bytu będą miały jedynie gospodarstwa nie

ny od dwóch lat jest inż. Czesław Pędziwiatr, który przeprowadził w swoim krótkim życiu aż czternaście lat w służbie rolnej. Toteż decyzyj, jakie zapadają w wyniku powszechnego przeglądu gmin muszą budzić respekt. Kiedy stwierdzono, że gmina posiada 6 ha nieużytków — natychmiast wydano polecenie Spółdzielni Kółek Rolniczych, by ziemię te obsadziła kukurydza (późno bo późno — koniec maja — ale nie straszą te ugrozy). Były to dwa gospodarstwa indywidualne: w Unikowie Jana Białka i w Starzej Hucie Antoniego Zduńczyka. Oczywiście, rolnicy będą mogli przejąć swoje ziemie jedynie w wypadku udowodnienia, że potrafia je należycie zagospodarować. Stwierdzono także, że w 65 gospodarstwach produkcja rolna podupada, że przy tegorocznych suszach plony będą więcej niż skromne. Więc natychmiast wydano każdemu z gospodarzy ostrzeżenie na piśmie, że jeśli po tegorocznych zbiorach

LUDWIK KRZYWICKI

Wiadomo już stosunkowo dobrze, że Ludwik Krzywicki był u nas jednym z pierwszych propagatorów marksizmu, wybitnym uczonym, który w swojej wszechstronnej i wieloletniej aktywności badawczej niejednokrotnie korzystał z inspiracji myśli K. Marksa i F. Engelsa. Rozpoczęte jeszcze przed wojną, kontynuowane i rozwijane w ostatnich trzydziściu lat badania nad życiem i działalnością L. Krzywickiego ze zrozumiałym względem na plan pierwszy wysuwały zwłaszcza zagadnienie stosunku myśliciela do marksizmu. Zanim zdołano uzyskać bardziej trwałe rezultaty, nie orasło uogólnienie tyle pospiesznych, nie nieadekwatnych.

Zaangażował się też — powiada Henryk Holda — Różiewicz — że fragmentarycznie znane wypowiedzi uczonego układano w dziwaczne zbitki, o których autorytatywnie orzekano, czy są one czy nie w zgodzie z ustaleniami lub intencjami klasyków materializmu historycznego.

Dzisiaj nauka dysponuje już wcale bogatym dorobkiem prac, poświęconych L. Krzywickiemu, datujących od dawnych uproszczeń, a zarówno posiadać, jak i dzieło wybitnego myśliciela są już stosunkowo dobrze znane. Nie znaczy to jednak, by były znane w całej pełni, by można było zawiesić badania nad L. Krzywickim na kolku, aby już wszystko, co naprawdę ważne, było wiadome. Miejmy nadzieję, że długo jeszcze nie dojdziemy do tego stanu, a pisma L. Krzywickiego długo będą dostarczały inspiracji dla coraz nowych poszukiwań badawczych.

Henryk Holda-Różiewicz poświęcił swą książkę „Ludwikowi Krzywickiemu jako teoretykowi społeczeństw pierwotnych” (PAN, Zakład Historii Nauki, Oświaty i Techniki, 1976), a więc zagadnieniu, które pasjonowały uczonego właściwie przez cały czas jego aktywności. Starano się ukazać dorobek polskiego badacza na tle ewolucjonizmu w etnologii, zwłaszcza zaś koncepcji najwybitniejszego przedstawiciela tego kierunku — Lewisa Henry'ego Morgana. To właśnie dorobek L. H. Morgana był dla polskiego myśliciela „punktem wyjścia do snućia dalszych rozważań”. Wiadomo od dawna, że w kręgu oddziaływania koncepcji morgańskich kształtowały się poglądy na społeczeństwa pierwotne twórców marksizmu: K. Marksa i F. Engelsa.

„Krzywicki — kontynuuje H. Holda-Różiewicz — za ich pośrednictwem zainteresował się bliżej dziełami Morgana i całą problematyką społeczeństw pierwotnych, a to — jak zobaczymy — nie pozostało bez znaczenia w jego samodzielnym studium nad interesującą mnie tematyką. Aktywny działacz kółka socjalistycznego „Krusińskich” na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, wydawca Kapitału, popularyzator marksizmu, był też Krzywicki pierwszym polskim uczniem — marksistą (...), który stosował metodę materializmu historycznego do wielu swych dzieł, również we fragmencie objętym moją analizą”.

Spółczeństwa prymitywne, znane uczonemu czy to z historycznych przekazów, czy z badań etnologicznych nad różnymi ludami, żyjącymi na kuli ziemskiej, dostarczały L. Krzywickiemu materiał do badań nad „najprostszymi, traktowanymi zarazem jako najdawniejsze, typami więzi społecznej i jej rozmiarami”. H. Holda-Różiewicz w argumentowany sposób wykazuje, że wychodząc z koncepcji ewolucjonistycznych L. Krzywicki dochodził do ich przewyższenia, że w jego rozważaniach teoretycznych można wyróżnić ważne elementy, które nie pozostają w zgodzie z założeniami tych myślicieli, których koncepcje stanowiły dla naszego badacza punkt wyjścia. L. Krzywicki zakwestionował więc w pierwszym rzędzie „zasadność tezy o jednokowym rozwoju wszystkich ludów na kuli ziemskiej”, formułując pogląd, że nie „jednolity schemat” — jaki proponował ewolucjonizm — ale „różnorodność kształtów i dróg rozwoju jest zasadą”. Idąc dalej tym tropem polski myśliciel polecił zasługi wyjaśniając zagadnienie „niejednakowości szczebli rozwoju” pierwotnych społeczeństw i ich kulturowego zróżnicowania. Niezależnie od tego — zaznacza H. Holda-Różiewicz — czy „wniosek Krzywickiego nazwiemy ciałem w klasycznej ewolucjonizm, czy też nie”, jego poglądy pod wieloma względami odróżniały się od koncepcji ewolucjonistów. „Krzywicki krytykował ich spekulacje oraz pospieszne uogólnienia i schematy niejednokrotnie, negował niektóre ich założenia i nowe próbował stosować metody. Ale celem jego badań, podobnie jak klasyczny ewolucjonizm, było dążenie do zrekonstruowania zasadniczych etapów rozwoju społeczeństwa i kultury całej ludzkości od czasu pojawienia się człowieka na ziemi”.

H. Holda-Różiewicz nie mogła, rzecz to zrozumiała, w krótkiej, zwięzłej książce, dokonać pełnej rekonstrukcji teorii rozwoju społecznego L. Krzywickiego. Problem ten czeka na osobne badania monograficzne: studium autorki może stanowić do nich coś w rodzaju udanego wstępu. Omawiana praca powstała w Zakładzie Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN i została opublikowana w zasłużonej serii „Monografie z Działu Nauki i Techniki”, jako tom 105. Sądze, że i tym razem otrzymaliśmy do ręki wartościową rozprawę, poświęconą ważnemu zagadnieniu. A to wobec powodzi publikacji, o których wartości można powątpiewać, znaczy wiele.

EUGENIUSZ IWANICKI

LEKTOR

ROMAN GORZELSKI

ZAPAŚNICY

Sport stał się cyrkiem czyli sztuką autentyczną pełną hysterii tłumy pełną niebezpieczeństw — oto walka gladiatorów czasów nowożytnych zaczyna się atawistycznym ruchem przyciągania to walka o uchwyt aż po opuski palców czas urwał się z uwięzi splotów ramion nóg mięśni dach głów ich otacza dach ramion pięści wrzasku — oni gotowi są zlinzować pokonanych i miejsce w niebie uczynić zwycięzcy — on widzi wokół siebie ściany w butach koszulach czapkach marynarkach ściany oczu ściany spoczone wyjące — tam nie ma miłości: nienawiść albo uwielbienie z wadą serca ze ślepym obiektywizmem matki która uważa że tylko jej dziecko jest warte pochwał za wszelką cenę a jeśli już wiemy o co chodzi wróćmy do sali dusznej z ostrym zapachem potu w której rozpostarto wielką matę — oto walka dwóch potężnych mężczyzn: śmierć w nich się czai umiejętność karki tydki uda pulsują chytryością zapaśnicy ponawiają atak

STANISŁAW ROMANIAK



Między nami jak we śnie który minął ktoś przyszedł i ktoś odszedł ktoś zastukał w szybę, zapukał w drzwi między nami jak ptakiem i drzewem tylko gałązka jeszcze drży ostatnie krople spadają rosy na ostrza trawy białe w ziemię między nami jak chmurą i rzeką rwący nurt i suche koryto mokre kamienie pieką stopy, pękają lica między nami jak wiosną, jesienią i zimą coś się rodzi, coś wędnie, ktoś umiera patrzmy na jedno drzewo i na deski tniemy oczyma między nami jak popiołem i ogniem słychać trzask iskier, blask bije dokoła i pozostała garść którą wiatr rozdmucha popiołu

JADWIGA DZIENISIEWICZ

DO NIEGO

Myszę o tobie w nocy, kiedy sen moje oczy przymyka
Kiedy słońce gaśnie na niebie,
a księżyc swe oblicze otwiera
Myszę o tobie mogę, kiedy
lza w oku nabiera blasku
Ty, który odszedłeś
W chmurach się rozpląnąłeś
Powróć tu nawet z końca świata

DLACZEGO

Dlaczego szczęście szybko mija
a zło dłuży okropnie
Dlaczego krótka chwila szczęścia
odchodzi bezpowrotnie

Proces Karakulskiego, jak wszystkie ważniejsze procesy karne, toczył się w Sali Kolumnowej. Nazywanie przybytku Temidy świątynią sprawiedliwości uważałem za retoryczną przesadę. To raczej arena ścieraających się namiętności, zlot Eryni, strażniczek ładu społecznego, które prześladowają przestępców i zabójców, Alekty — uosobienia gniewu, Tyzifone — zemsty, Megery — nienawiści. Nie można jednak zaprzeczyć, że w atmosferze panującej na sali sądowej, było coś uroczystego. Tłumaczy się to ceremonialną ciszą, w jakiej toczą się rozprawy, a może i świadomością, że w każdej minucie waży się tutaj los człowieka, stojącego pod poważnym zarzutem dokonania czynu przestępczego.

W pogodny słoneczny dzień Sala Kolumnowa nie wymagała sztucznego oświetlenia. Było w niej dostatecznie jasno przy świetle dziennym. Ale miała złą akustykę. Głos prokuratora rozlegał się jak zapowiedź przyjazdu i odjazdu pociągów nadawana przez megafony na dworcach kolejowych. Trzeba było dłuższej chwili, żeby oswoić się z tą emisją wynaturzającą ludzki głos.

Zdziwiła mnie słaba frekwencja publiczności na tym głośnym bądź co bądź procesie o zabójstwo. Tylko stół dla przedstawicieli prasy był obsadzony przez dziennikarzy do ostatniego miejsca.

Usiadłem po prawej stronie, w dziesiątym rzędzie, na linii ławy dla oskarżonych, a nawet trochę za tą linią, z boku, tak że gdyby nawet mecenas w ferwore polemicznym obracał się twarzą do publiczności, nie mógłby mnie ze swojej ławy adwokackiej dostrzec, tym bardziej, że przede mną siedział wysoki i barczysty mężczyzna, za plecami którego kryłem się jak za wałem w rowie strzeleckim.

Zająłem miejsce obok sekretarza wydziału karnego. Ten sam, który przywitał mnie złośliwą uwagą, gdy przed paroma tygodniami zażądałem od przejrzenia akt sprawy: „Widzę, że Karakulskiego będzie broniło trzech adwokatów”. Wymienił mi uścisk dłoni. Lawiński był starą, zasuszoną mumią. Zainteresował pana ten proces? zagadnąłem. Interesuje mnie obrona, uśmiechnął się zjadliwie szczerzą drobne zęby poczerwiałe od dymu tytoniowego. Skojarzyłem zjadliwy uśmiech z opinią mecenasa o Lawińskim: „To złośliwa bestia”. Dzieliły ich jakieś urazy, a może tylko wzajemna irracjonalna antypatia?

Mój słuch przyzwyczajał się do dudniącego wielosłownia rozlegającego się z głośnika. Zaczęłem wylatywać poszczególne zdania z huczącej masy emitowanych dźwięków.

Sądząc z pytań, jakie zadawała obrona biegłym, prokurator domniemywał, że pełnomocnik oskarżonego wysunie tezę, iż jego klient zabił żonę w nagłym powziętym zamiarze zabójstwa. Jest to tak zwany dolus impetus w przestępstwach popełnionych w nagłym uniesieniu. W tej sprawie jednak dolus impetus nie mógł mieć zdaniem prokuratora zastosowania.

Kwestionując przypuszczalną tezę obrony oskarżyciel publiczny udowodnił, że od momentu, kiedy oskarżony Karakulski został zawiadomiony przez detektywa z prywatnego biura „Pinkerton”, że żona jest w kasynie gry „Nirwana” z jakimś mężczyzną, do chwili, w której znalazł się w kasynie, upłynęło co najmniej pół godziny. Opierając się na wyjaśnieniach oskarżonego, że po wyjściu z mieszkania na Ogrodowej nie mógł znaleźć żadnego środka lokomocji i przebył pieszo drogę na Chmielną, gdzie mieściło się kasyno gry, prokurator stwierdził, że przez ten czas oskarżony ochłonął z pierwszego wrażenia, jakie na nim wywarła informacja telefoniczna, i na zimno, z rozmysłem zaplanował zabójstwo swojej żony. Ten wniosek był poparty dowodem zeznań agenta, pracującego w „Pinkertonie”. Detektyw czekał przed lokalem kasyna gry i zeznał, że nie zauważył żadnych objawów zdenerwowania ani podniecenia w zachowaniu się Karakulskiego. Przeciwnie, skonstatował, że Karakulski wykazał duże opanowanie, rozmawiał z nim krótko i rzeczowo i po parominutowej wymianie zdań kazał się zaprowadzić do kasyna. Po wejściu do lokalu Karakulski na widok żony rozmawiającej w kawiarni „Nirwany” z obcym mężczyzną wyjął z kieszeni browning i celując uważnie oddał do denatki trzy strzały. Wszystkie okazały się celne i

jak wynika z obdukcji zwłok, dokonanej w Zakładzie Medycyny Sądowej, były śmiertelne. A więc zarówno przy powzięciu zamiaru zabójstwa, jak i w momencie dokonania przestępstwa oskarżony działał z pewną świadomością, realizując z góry powzięte postanowienie zabójstwa. Żaden świadek, utrzymywał prokurator, nie stwierdził stanu silnego wzruszenia ani podniecenia u oskarżonego, który sprawiał wrażenie człowieka całkowicie opanowanego. Tylko oskarżony mówił o sobie, że był „wkurzony”, rozumiejąc przez to, że był zdenerwowany. Ale od zdenerwowania bardzo daleka droga do pojęcia „silnego wzruszenia duchowego”, które według paragrafu 2 artykułu 225 kodeksu karnego zmniejsza odpowiedzialność za popełnione zabójstwo. Zapytałem półgłosem Lawińskiego, od jak dawna przemawia prokurator.

Nie patrzyłem na zegarek, doszedł mnie szept sekretarza. Ale coś mi się zdaje, że niedługo skończy.

W istocie prokurator zmierzając do końca swojego przemówienia. Reasumując, żądał uznania przez sąd, że oskarżony popełnił zabójstwo z premedytacją i domagał się surowego wymiaru kary.

Przemysłane i rzeczowe przemówienie oskarżyciela publicz-

własność byłego ucznia. Nieszczęściem i klęską Karakulskiego było, że jako mężczyzna już nie pierwszej młodości zakochał się i ożenił z dziewczyną znacznie młodszą od niego. Wierząc, że jego żona będzie tak samo uczciwa, jak on był rzetelny w stosunku do swojego starego mistrza-złotnika, wprowadził ją do sklepu z zamiarem, żeby nauczyła się fachu i pomagała mu w pracy. Rezultat tej próby okazał się żalony.

Usłyszałem hałaśliwe otwarcie i zamknięcie drzwi. Do sali wszedł adwokat Papliński. Środkowym przejściem między ławkami ruszył kierując się do stołu sędziowskiego. Nie złożył kompletowi sędzemu zwyczajowego ukłonu, jak robiła większość adwokatów wchodzących w czasie sesji do sali rozpraw, tylko doszedł do pierwszego rzędu, przeznaczanego dla obrońców oczekujących na wywołanie ich sprawy i zasiadł kładąc obok siebie teczkę i jakieś akta.

Rezultat okazał się żalony, powtórzyl mecenas po krótkiej przerwie, wywołanej hałaśliwym wkroczeniem adwokata Paplińskiego. Z wyjaśnień oskarżonego, kontynuował Woyzbun, można sobie odtworzyć obraz gehenny, jaką było dla starego męża życie Karakulskich.

Słuchałem w szaleńczej i bezskutecznej chęci dotarć do

wielkie uczucie i dobroć serca mogła się ludzi, że cierpliwością, wybaczeniem i pobłażliwością będzie można zmienić cyniczną filozofię kobiety, dla której przyjemność, użycie i hedonizm były nadrzędnymi wartościami. Pomyśleć, ile stresów przeżył podsądny, ile zwątpień, ile rozczarowań! Spójrzcie na niego i przyznajcie, panowie sędziowie, że trzeba by chyba nadludzkiej siły, żeby oprzeć się spustoszeniu i dezintegracji, jakie powoduje w psychice taka długoletnia i beznadziejna walka wewnętrzna!

Jak dotąd wszystko zapowiadało się nieźle. Mecenas zastosował swój wypróbowany sposób, przyłożył do piersi obie ręce z lekko dotykającymi się końcami palców i pochylił się nieznacznie do przodu. Ten gest nadawał mu pozór rozbrajającej sędziów szczerości, którą chciał przekonać trybunał o swojej lojalnej postawie względem kompletu sądzącego. Nie podnosił też głosu, który modulował od tonacji refleksyjnej do łagodnej perswazyjnej mówiąc: Oto człowiek, który uczciwą i wytrwałą pracą od wczesnej młodości zasłużył dorobił się znacznego majątku. I który chciał ukoronować swoje dzieło przykładowym małżeństwem i znaleźć proste szczęście w ciepłym domowym ognisku. Niestety, jego towarzyska zamieniła ognisko domowe w piekło.

Karakulski wstał, wyjął z kieszeni kraciastą chusteczkę, jak kiedyś wyjmowało się zza pazuchy fular, i zaczął ostentacyjnie wycierać łzy.

A co zostało z tego człowieka? Ruina! powiedział mecenas z naciskiem, z ostrożnym akcentowanym patosem.

Karakulski zważył się z powrotem na ławę i trzymając się oburącz krawędzi deski, odgradzającej go od obrońcy, zaczął łkać. Spazmatyczne ruchy wstrząsały jego tułowiem.

Lawiński trzącił mnie łokciem w bok. Przechyliłem głowę w jego stronę. Stary kawał! szepnął chichocząc. Obruszyłem się, chociaż trudno było zaprzeczyć, że scena mogła się wydawać wyreżyserowana przez obrońcę i jego klienta, i nie zrobiła wrażenia na trybunale. Sędziowie słuchali przemówienia Woyzbuna z rozrządzeniem. Jeden patrzył w sufit, drugi robił młynka wiecznym piórem, które obracał w palcach, zaś przewodniczący wertował leżące przed nim akta sprawy.

Dziekan Rady Adwokackiej w Paryżu mecenas Fernand Payen pisał w swojej pracy o adwokatstwie, że jeśli adwokat nie zdoła po dziesięciu minutach mowy obrończej przykuć uwagi sędziów w takim stopniu, żeby słuchali go z nieśląbnym zainteresowaniem, może sobie powiedzieć, że przegrał sprawę.

Znowu zostałem poczęstowany przez sekretarza kuksankiem. Patrz pan, wasz klient zemdał! — wskazał na ławę oskarżonych.

Na sali dało zauważyć się poruszenie. Mecenas przerwał obronę w połowie zdania. Wózny z wokandą w ręce podbiegł do stołu sędziowskiego meldując, że oskarżony zemdał. Przewodniczący zwrócił się do publiczności z pytaniem, czy na sali nie ma lekarza.

Z drugiego rzędu ławek wyszedł wysoki mężczyzna i skierował się w stronę ławy oskarżonych.

Przewodniczący ogłosił przerwę i sędziowie wyszli do pokoju narad.

Panie, usłyszałem trzęsący się głos Lawińskiego, panie, adwokat, żeby dobrze bronić, powinien rozumieć swojego klienta lepiej niż klient rozumie sam siebie. To nie sztuka, panie, wziąć dużą forszę od faceta nadzianego złotówkami i odstawić takie ograne numery, jak z tym spazmowaniem i zemdleciem.

Słuchałem zdumiony. Sekretarz przyskakał śliną, zbierając się w kącikach ust, zwierzał się, że od dwudziestu lat pracuje w sądzie i zna prawo i mecenasów, że obrona Woyzbuna nie umywa się do przemówień takich asów palestry, panie, jak Paschalski albo stary Ettinger. To byli panie obrońcy, którzy wiedzieli, co się dzieje w duszy klienta. Panie, adwokatura, to jak sztuka. Trzeba mieć ten szósty zmysł, żeby słyszeć, panie, i czuć, jak rozpacza wyje i skowycze w duszy zbrodniarza, jak nim targają wyrzuty sumienia.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

MOWA OBROŃCZA

nego wydało mi się niełatwe do obalenia i sądziłem, że mecenas będzie miał niemało kłopotu, aby przekonać sąd, że Karakulski nie działał z rozmysłem.

Obrona ma głos, oznajmił przewodniczący i mecenas wstał. Wysoka sylwetka w czarnej todze odcinała się wyraźnie od jaśniejszej, politurowanej deski oparcia ławy obrończej, na krawędzi której opierał się Karakulski siedząc za mecenasem na ławie oskarżonych, podany teraz całym tułowiem do przodu. łowiąc każde słowo swojego obrońcy.

Mecenas zaczął od charakterystyki osoby swojego klienta, który był synem motorniczego i po przedwczesnej śmierci ojca musiał przerwać naukę w szkole średniej i zaczął pracować jako chłopak do posług w pracowni znanego złotnika warszawskiego. Pracodawca oceniając spryt i zdolności nowego pracownika, zatrudnił go nibawem jako ucznia. Okazało się, że chłopiec posiadał uzdolnienia manualne i po kilku latach stał się jednym z wybijających się pracowników. Co więcej, to on namówił swojego mistrza do założenia sklepu jubilerskiego w najelegantszym punkcie stolicy. Rozpoczęła się era rozkwitu pracowni i sklepu. Doceniając wkład pracy, i niejatywę i zapobiegliwość Karakulskiego złotnik dopuścił go do spółki w prowadzeniu przedsiębiorstwa, które po śmierci założyciela i splaceniu spadkobierców przeszło całkowicie na

istoty wywodów mecenas, chociaż nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, dlaczego się dreczę i po co chcę wiedzieć, jaka przyczyna skłoniła mecenasa do zmiany decyzji i podjęcia się obrony jubilera. Od chwili, w której mecenas oświadczył, że straciłby szacunek dla samego siebie, gdyby bronił Karakulskiego w taki sposób, jak klient sobie życzył (było to po pierwszej wizycie jubilera, który wychodząc trzasnął drzwiami manifestując w ten impertynencki sposób swoje niezadowolenie), a zwłaszcza od momentu, kiedy dowiedziałem się o zmianie decyzji i zauważyłem ów rzadki, nerwowy tik w lewym policzku mecenas i wyszedłem z jego gabinetu z niejasnym pojęciem, które wydało mi się jednak krzywdzące dla mecenas, od tamtego momentu moja uwaga była zwrócona na zainteresowanie, jakie mecenas okazywał sprawie jubilera. Chciałem wykryć i zrozumieć przyczynę, dla której mecenas zmienił decyzję. Dlatego chłoniłem z niecierpliwością i napiętą uwagą słowa Woyzbuna spodziewając się, że w jego przemówieniu odnajdę zaważaną odpowiedź na moje niesprecyzowane obawy i wątpliwości.

Rzucmy okiem, przemawiał Woyzbun, na drogę, która doprowadziła mojego klienta przed sąd. Długoletnie kłótnie małżeńskie, beznadziejnie ponawiane próby nakłonienia wiarołomnej żony do powrotu do uczciwego, życia. Tylko

CO SŁYCHAĆ NA CZERWONEJ PLANECIE

Na pytanie: co słychać na Czerwonej Planecie? — odpowiedzieć jest bardzo trudno. I to z dwu powodów. Powód pierwszy jest taki, że łączność ośrodka kierującego lotem obu „Vikingów”, jaki znajduje się w Pasadenie trwa dziennie nie wiele dłużej niż 2 godziny. Nawet mimo tego, że w kierunku Czerwonej Planety wycelowane są anteny specjalnych stacji, rozmieszczonych w kilku miejscach kuli ziemskiej: w Kalifornii w USA, w Australii i Hiszpanii.

Przeszkoda w utrzymywaniu stałej łączności z lądowiskiem „Vikinga — 1” jest ruch wirów Marsa oraz fakt, że łączność tę można nawiązać tylko wtedy, kiedy satelitarne części sondy kosmicznej znajdują się bezpośrednio nad lądowiskiem. A mimo tych trudności coś tam dociera do ułożonych.

Dotarła już do Marsa druga sonda kosmiczna: „Viking — 2”. Ma ona lądować — a ściślej jej części tylko — 4 września 1976 roku. „Viking — 2” rozpoczął już fotograficzną penetrację rejonu przyszłego lądowania jego aparatury badawczej. Ma on wylądować dalej na północ od miejsca lądowania aparatury „Vikinga — 1”. Ale pojawienie się nad Marsem drugiej ziemskiej sondy kosmicznej też skomplikowało problem łączności z aparatami wysłanymi przez ludzi na Czerwoną Planetę. Ośrodek w Pasadenie może bowiem komunikować się tylko z jednym aparatem, a nie z dwoma na raz.

Drugi powód, dla którego tak trudno jest odpowiedzieć na pytanie: co słychać na Czerwonej Planecie? — jest bardziej skomplikowany. Aparatura lądownika „Vikinga — 1” rozpoczęła już dawno swoją pracę. Przekazała jej wyniki na Ziemię, ale na tej podstawie nie jeszcze nie można powiedzieć konkretnego. Po prostu ciągle za mało jeszcze wiemy o naszym kosmicznym sąsiedzie. A bardzo byśmy chcieli, aby oba „Vikingi” potwierdziły naszą nadzieję, że na Marsie są przynajmniej mikroorganizmy. Wtedy byłibyśmy spokojniejsi. Mielibyśmy jeszcze większą nadzieję, że nie jesteśmy sami w tej przegromnej pustce Kosmosu.

Czerpak lądownika „Vikinga — 1” pobral już próbki marsjańskiego gruntu. Były kłopoty z ich umieszczeniem w badawczych pojemnikach, okazało się bowiem, że wkrótce przypuszczeniem gruntu ten nie jest taki sypek, jakbyśmy się tego mogli spodziewać. Nie było to jednak jedynego zaskoczenie. Okazało się bowiem, że próbka marsjańskiego gruntu wydzieliła w czasie jednego z badań 15 razy więcej tlenu niż się tego spodziewano. W drugim badaniu gruntu marsjański wydzielił również niespodziewanie więcej radioaktywnego dwutlenku węgla niż zakładano. Wydzielił więcej niż jakikolwiek żywy organizm ziemski. Alisic proces wydzielenia trwał tylko 40 godzin, podczas gdy na Ziemi trwa on — przy analogicznym badaniu — 168 godzin.

Co z tego wynika? Jeszcze nie. Badania te będą powtarzane. Czy ich wyniki będą analogiczne z poprzednimi? Zobaczymy. Poza tym do wyników nadsyłanych przez aparaturę lądownika „Vikinga — 1” dojdą wyniki, jakie będzie nadsyłała aparatura „Vikinga — 2”. Jeśli proces lądowania przebiegnie zgodnie z założonym programem, jeśli nie zajdą żadne nieprzewidziane okoliczności.

W każdym razie — jak to zauważył pewien zagraniczny humorysta — przed kamerą telewizyjną aparatury nadawczej „Vikinga — 1” nie stanął żaden zielony ludzik i nie zaczął robić głupich a złośliwych min. Dlaczego na Czerwonej Planecie musiałby być on koniecznie zielony, tego daleko mi nie wiem. Ale wie to humorysta z „Le Monda”. Jego żart ma bowiem zabarwienie polityczne. Uważa on, że gdyby takie zielone ludziki pojawiły się przed kamerami „Vikinga — 1”, to aparatura zapytałaby ich w języku marsjańskim oczywiście: „Ale chyba nie jesteście czerwoni, co?”

Zarty, żartami, a sprawa jest poważna. Chciałoby się bardzo, aby z Marsa nadszedł telegram następującej treści: „Życie wykryto stop Pozdrowienia stop”. Taki telegram może jednak w wyniku penetracji Czerwonej Planety nie nadejść. Czy to przekreśla nasze ziemskie nadzieje? Otóż jestem przekonany, że nie. A dlatego, że udało się nam dopiero zbadać malutki fragmentek powierzchni Marsa i zamierzamy — przynajmniej w chwili, gdy to piszę — zbadać następną. Do poznania choćby części prawdy o Marsie pozostało jeszcze wiele pracy i wysiłku. Penetracja obu „Vikingów”, jeśli przebiegnie zgodnie z założeniami, rozszerzy naszą wiedzę o Czerwonej Planecie. Będzie to i tak ogromny sukces.

Trochę w cieniu wyprawy „Vikingów” pozostałe już przeszło miesiącny pobyt Borysa Wołnowa i Witallija Żolobowa na stacji kosmicznej „Salut 5”. Przystawiliśmy się do takich wypraw człowieka w Kosmos, zapominając, że niepełna 20 lat temu pierwszy radziecki sputnik ważył zaledwie 70 kg. Dziś nie dziwna nas badania tygodniami prowadzone w przestrzeni kosmicznej i nie dziwna dalsze plany i zamierzenia. Warto jednak pamiętać, że zarówno tam na Marsie, jak i tu, nie tak znów daleko w Kosmosie, realizuje się jeden program poznania okalającej nas przestrzeni, program badania Układu Słonecznego. Każda wyprawa poza ziemską atmosferę, czy to ludzi, czy aparatów, wzbogaca naszą wspólną wiedzę.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Foto: Archiwum

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DRUGIE POKOLENIE

Dalszy ciąg ze str. 1

— Czuję się Polakiem?

— W każdym razie nie czuję się Niemcem.

— Więc dlaczego nie wracacie?

— Tu jest dobrze.

I tak każdy. Ni Niemiec, ni Polak. Obywatel świata. Nie ukrywa bynajmniej sympatii do starego kraju, który zna zresztą (najczęściej) tylko z opowieści, nie wstydzi się i nie boi rozmawiać głośno po polsku, ale — z drugiej strony — chwali sobie niemiecką rzeczywistość. Jasne, jak Polska grała z Niemcami w półfinale Mistrzostw Świata, dopięgował gorąco naszych, ale kiedy w finale RFN potykała się z Holandią, zdzierzał gardło za Niemcami. Przejął choć nie chcąc niemieckie obyczaje i niemiecki sposób myślenia, co najlepiej uwidacznia się właśnie w restauracji, kiedy różne muzyka i wszyscy są na jakimś takim luzie

Pojedyńcze stoliki zestawia się zwyczaj w długi, pokrętny wąż, przy

którym zasiada wspólnie, ramię w ramię, ogół znających się i nie znających gości, tak, że lokal bardziej przypomina salę konferencyjną niż siedlisko rozrywki.

W kartach wyszczególnione są najrozmaitsze dania i napoje: steki, befsztyki, hamburgery, koniaki, likiery, wina, ale Niemcy, także ci polskiego pochodzenia, zamawiają wyłącznie piwo. Nie ma mowy, żeby któryś coś zjadł albo trzeźniał sobie porządnego kielicha. Piwo — i szus! I to z reguły — w ramach powszechnego oszczędzania — tylko jeden kufel, który trzeba sączyć powoli, drobnymi łyżkami, bo z chwila, kiedy pokaże się dno, momentalnie wyróżnie przed tobą kelner i albo coś zamówisz albo będziesz musiał wyjść.

— Zawsze tak u was? — pytam.

Jan S., mechanik samochodowy, uśmiecha się i odpowiada:

— Zawsze.

— Nie jesteś głodny?

— Najadłem się przed wyjściem.

U nas jest taki zwyczaj, że je się w domu albo w barach samoobsługow-

wych, a w nocnych lokalach, w których ceny są trzykrotnie wyższe, przestaje się na piwie. Ciężki brzuch nie sprzyja dobrej zabawie.

Może i tak. Kto nie oszczędza, do niczego nie dojdzie — myślę. I każę sobie podać hamburgera. Kamienna twarz kelnera rozjaśnia się w promiennym uśmiechu, więc żeby nie musiał biegać dwa razy, proszę jeszcze o kieliszek wódki.

Hamburger był smaczny i duży, a kieliszek tak mały, że kiedy odetchnąłem niechcący nosem, zaświecił pustką.

— Wy, Polacy, to macie fantazję — powiedział Hans K., inny urodzony tu Polonus. Była w tym szczypta zgryźliwości, gdyż mój gest, samobójczy gest Don Kichota, kosztował dziesięć marek (cztery dolary). Potem jednakże dodał: — Umiecie się bawić, cieszyć życiem, macie inną mentalność. U Niemców wszystko jest sztywne, wymuszone. Śmieją się, tańczą, piją, śpiewają na komendę. Są bogaci, ale co im z tego bogactwa: mieszkań, lodówek, samochodów, skoro brak im gazu do życia.

Ja z kolei, trawiony lekkimi wyrzutami sumienia, zastanawiałem się, czy ta nasza polska fantazja nie traci przypadkiem przesady. Te nasze grzechy narodowe: pokazać się, blyśnąć, zamiast ciałuć. Wtrząchnąć na obiad pół kilo mięsa, zamiast obejść się makaronem z podrobami. Zamówić pół litra, zamiast wody sodowej, urznąć się, zamiast tańczyć, wziąć taksówkę, zamiast iść piechotą... Niemcy pod tym względem świecą nam przykładem. Ale fakt, że bawia się licho.

Orkiestra robi co może, aby ich trochę rozhuścić i podkręcić. Chłopaki śpiewają niemiecki przebieg roku: „Komm unter meine Decke” (Przyjdź do mnie pod kołderkę). Jednak atmosfera pozostaje ospala.

Ot, gaworzymy z rodakami, albo raczej z dziećmi rodaków, o kraju, a potem znowu o ich warunkach bytowych w polskiej dzielnicy Ludwigsburga. Te domy, w których mieszka są nieźle. Samochody, którymi jeżdżą, gorsze. Praca ciężka, dzień-dziesięć godzin na dobe, z dwiema krótkimi przerwami na posiłek.

Ale za to wolna sobota. Władka ma dwadzieścia lat i nieślubne dziecko. Żaden wstyd. Ojciec z początku się zrywał ale przestał. Matka nie żyje. Pryncypał Władki, niewykwalifikowanej robotnicy, jest wymagający lecz sprawiedliwy. Płaci jej na czysto tysiąc dwieście marek. Ciężki grosz. Może zwrócić ojcu za mieszkanie i wyżywienie. Starv chce, żeby dawała więcej, ale Władka nie widzi powodu. Jest ładniutka, szczupłutka, malutka.

— Co ja tam zjem — powiada. — Kromeczkę chleba, szklaneczkę herbaty. A pieniądze odkładam.

— Na co?

— Na samochód, mieszkanie. Kupię za jakis pięć lat a wtedy i mąż się znajdzie.

Ma w sobie dużo optymizmu i konkretnie wytknięty cel. Jak najczęściej pracować i oszczędzać. Żadne tam kina, szaleństwa, randki, ciuszki.

— Od pierwszego idę na urlop — mówi.

Pytam:

— Gdzie pojedziesz?

— Nigdzie.

— Jak to: nigdzie?

— A po co, kiedy mogę w tym czasie najaść się do tartaku i zarobić dodatkowo czterdzieści marek dziennie. Już mam to załatwione.

— Cieszysz się?

— No pewnie. Czterdzieści marek, to jest pieniądź. Druga pensja i tylko za siedem godzin na dobe. Od piątej rano do dwunastej.

— Ciekawe — myślę — czy znalazłbym w Polsce atrakcyjną dziewczynę, która zgodziłaby się z własnej, nieprzymuszonej woli na taki rodzaj urlopu.

Całkiem nieźle mówi po polsku i całkiem dobrze myśli po niemiecku. Wierzy w pracę. Nieważne, co to za praca. Ważny efekt: pieniądź.

— Do Polski się nie wybierasz?

— Tak. Ale jak będę miała własny samochód.

— Jak pani chce przyjechać?

— No pewnie.

— A po jakiemu rozmawiasz ze swoim dzieckiem?

— Po niemiecku. Ale kiedy podróżnie do trzech lat, nauce go polskiego, bo to może mu się przydać. Kto zna obcy język lepiej zarabia.

— Wszystko przeliczasz na pieniądze?

Patrzy na mnie zdziwionymi oczami. A co ja sobie, do cholery, wyobrażam. Życie jest po to, żeby pracować i zarabiać. Kto tego nie rozumie, niech się lepiej zawczasu powiesi. Co to za obywatel, który nie wie, że wszystko stoi na pieniądź.

Marshall Keller otwarty jest do drugiej w nocy, ale przed dwunastą Niemcy, także ci pochodzenia polskiego, zaczynają się ewakuować. Przy stolikach, stroniąc niejako od reszty, pozostaje tylko trochę Włochów, którzy chodzą z nożami i zawsze mają czas, trochę Turków, Murzynów i amerykańskich żołnierzy w cywilu albo w niepozornych, zielonkawych mundurach. Orkiestra gra bez przerwy, bo za to jej płacą, ale na parkiecie kręcą się sennie tylko dwie-trzy pary. Jest to bowiem powszedni dzień. Każdy, kto ma głowę w porządku, trzyma ją o tej porze na poduszce, żeby wyspać się porządnie i wypocząć, gdyż jutro skoro świt trzeba iść do pracy.

CO POTRZEBA TURYSZCIE?

Najpierw — i to jest najważniejsze — turystyce potrzebna jest chęć zostania turystą. Wiele osób podejmując odważną decyzję i zostaje turystami... zagranicznymi. Takim turystyce potrzebne są pieniądze, aby mógł udać się na zagranicę wyjechać organizowaną przez kogoś z biur turystycznych. Specjaliści od turystyki twierdzą jednak, że powinno się zaczynać od rejonów najbliższych miejscu zamieszkania. Poza tym na wycieczkę zagranicą można wyjechać przynajmniej raz w roku i to w okresie urlopu. A co robić z pozostałymi dniami wolnymi? Co robić w letnie, wiosenne i jesienną wolne soboty? W święta?

Nasz czas charakteryzuje się szybkim tempem życia, licznymi stresami, motoryzacją, postępem techniki. Lekarze są zdania, że znakomitym sposobem odprężenia i poratowania zdrowia, rozruszania zasiedziałości mięśni jest... turystyka piesza. Polecają ją młodym i starym, jak również — a może szczególnie — tym w średnim wieku. Więc powtórzmy i sprzeczmy pytanie: co potrzeba turystyce pieszej?

I tu odpowiedź będzie podobna: potrzeba ochoty do wędrowania. Można spacerować sobie po mieście, po parkach. Ale taki spacer szybko się nudzi. Trzeba ruszyć w nieco dalsze okolice. Potrzebne są przewodniki, informatory, które służąby radą wybierającemu się na sobotnią czy niedzielą wycieczkę. Gdzie pójść, jaką trasą, co zobaczyć, gdzie odpocząć i posilić się. Nie mamy nadmiaru takich przewodników i informatorów. A nawet sądzę, że mamy ich stanowczo za mało. Prawie wcale. Każda nowa rzecz błyskawicznie znika z półek księgarń. Dowodzi to dużego zapotrzebowania na tego typu wydawnictwa.

Działalność „Informacja turystyczna”, PTTK prowadzi poradę dla turystów kwalifikowanych. Początkujący turysta albo najczęściej jeszcze o tym nie wie, albo nie umie z tego korzystać, albo kępuje się chodzić i naprzykrzać się swoimi turystycznymi problemami. Oprośnią pomocą byłby dla niego taki właśnie poradnik, z którym mógłby zostać sam na sam, zastanowić się, wybrać najbardziej odpowiadającą mu trasę z kilku lub kilkunastu propozycji.

Brakuje również dobrych turystycznych map, planów choćby schematycznych, ale orientujących turystę, odpowiadających mu na pytania: co, gdzie, jak? To wszystko, czym mogą mu służyć księgarne jest jeszcze niewystarczające. Bardziej nastawione na turystę zmotoryzowanego niż wędrującego pieszo. Również sieć campingów, pól namiotowych, bazy noclegowej bardziej jest przystosowana dla potrzeb zmotoryzowanych niż pieszych. Zdaniem specjalistów od turystyki w pobliżu wielkich miast, w rejonach szczególnie atrakcyjnych niezbędne są wytyczone pola namiotowe, przeznaczone nie tylko dla zmotoryzowanych. Potrzebny jest również sprzęt lekki i możliwy do noszenia w plecaku. Tu też — jak twierdzą specjaliści — więcej myśli się o turystyce zmotoryzowanej a mniej o pieszej.

Tymczasem, i tu ponownie odwołam się do opinii specjalistów, w naszym modelu turystycznym powinien dominować taki układ, że wybieramy się do określonego punktu, który stanowi naszą bazę, a następnie wędrujemy po okolicy, wiedząc, że tu i ówdzie możemy sobie biwakować. Ale nie zawsze możemy. Najczęściej po prostu nie umiemy, a po drugie — nie wszędzie są ku temu warunki.

Okolice Łodzi stwarzają tymczasem bardzo atrakcyjne możliwości dla sobotnio-niedzielnych wędrowania. Są to jednak jak na razie możliwości potencjalne. A myślę, że warto byłoby zamienić je w możliwości rzeczywiste, realne. Warto byłoby w trosce o nasze zdrowie pokusić się o propagandę turystyki pieszej. Nawet zmotoryzowanym by to nie zaszkodziło. Dominuje bowiem u nas szkodliwy tryb życia. Udało mi się kiedyś podpatrzeć takich zmotoryzowanych turystów z bożej łaski, którzy wybrali się do lasu, wjechali między drzewa, na ścieżkę leśną, gdzie wolno jeszcze było dojechać samochodem, otworzyli drzwi auta i nie występując z samochodu wdychali leśne powietrze. Nie zmyślają. Tak było naprawdę.

A może byśmy trochę pospacerowali?

BOGDA MADEJ

OBYCZAJE

Dalszy ciąg ze str. 1

Byłem sztywny. Kumpel gdzieś się zmył. Zabalowałem całą noc. Rano obudziłem się na jakimś statku. Patrzyłem: okienka takie małe i okrągłe. Myślałem, że jestem w areszcie... Zaświadczenie już miałem w kieszeni. Z podpisem agenta. Stwierdziłem, że pracowałem u niego w charakterze kelnera od 15 czerwca do 15 września 1972 roku. Napisał to na maszynie i przyłożył pieczęć.

2.

Wsiadłem w pierwszy autobus i wysiadłem jak zachciało mi się pić. Akurat w Sarbinowie. Agent potrzebował to i przyjął. O nic nie pytał. Zaświadczenie wystarczyło. Zaczęłem się uczyć kelnerki. O tyle było fajnie, że była zbiorówka. Wczasowicze się stolarowali. Nie potrzeba było eleganckiego podejścia, ukłonów itp. Normalnie leciało się przez salę i garścią rzucano na stół noże i widelce. Zeby szybciej. Wczasowicze sami sobie je dzielili. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Miałem przecież zaświadczenie, że byłem kelnerem tylko przez jeden sezon. Mogłem jeszcze nie wiedzieć, że talerz z zupą tak trzeba nieść by palca nie umoczyć...

3.

W Sarbinowie spędziłem prawie miesiąc. Do 2 lipca. Nie było tam specjalnych pieniędzy. Z jednego wieczoru najwyżej 200-500 zł. Na drugi dzień się puściło i znów żyło na bieżąco. Napiwki były małe. Czasem skubnęło się jakiegoś pijaczkę... Raz przyszło dwóch takich facetów, co cwaniaczków udawali. Proszą o stolice koło parkietu. Skombinowałem i mówię:

— Ja tu będę obsługiwał.
A oni zaraz mi stówę do kieszeni. Zaczął się dancier. Wolają mnie:
— Sami jesteśmy — mówią smutnie. Może pan by coś załatwił? Lepiej pan zna te strony...
I znów wcisnęli mi stówę.
Wychodzę więc przed lokal. Widzę dwie co nie mają na dancier.
— Co tak stojicie? Mam wam dancier postawić? — zwracam się do nich.

A one: — No wie pan...
Ale się zgodziły. Wprowadziłem je na salę i wskazałem dwa wolne miejsca. Usadziłem przy tych facetach. Wywołałem zaraz jednego i kazałem iść do ciecia, żeby wykupił bilety.

— To trzeba uregulować — mówię — przecież od tych pań nie będę brał.
Facet natychmiast wyciął do szafki. Zapłacił. Poeciło raz żytko, drugi raz żytko, a później chcieli zaimponować tym paniom:

— Jaką pan ma najdroższą wódkę? — pytają.
Odpowiadam: — Napoleona.
W duchu sobie myślę: zobaczcie Napoleona jak świnię niebop... Kto zamawia Napoleona w setkach? Co innego jak gość pyta: — Jakie macie koniaki? To już się wyczuwa, że facet w tym siedzi. A tak, to poszedłem do bufetowej i mówię:
— Weź tego Napoleona z półki i udawaj, że nalewasz. Mnie daj dwie setki albańskiego...

Była przygotowana na takie okazje. Obok Napoleona stał albański koniak. Robiła to tak zrecznie, że nikt nie zauważył...

4.

Rzadkie były wypadki, że łatwo dawało się skubać gości.
— To nie dla nas chleb — powiedział kolega namawiając do wyjazdu do Międzyzdrojów. — Ja tam coś załatwię — obiecał.

Poszliśmy do agenta i mówimy, że wyjeżdżamy. Ten w lament:

— Panowie, przecież pełnia sezonu, mamy zbiorówkę...

Ale z agentem nie ma żadnych dyskusji. Chciał nam nawet dodać po dwieście złotych. Kolega mówi:
— Dajesz pan po tysiąc i zostajemy. Nie mogliśmy tyle dać. Oddaliśmy mu kitle.

5.

Taksówczką walimy do tych Międzyzdrojów. A tu jak na złość ciasno. Wszędzie komplet. Kolega się zdrżnił i mówi do jednego agenta:

— To ja nie pracuję wcale, będę czekał.

— Niech pan czeka — obojętnie odrzekł agent.

Ja jednak chciałem pracować. Pytam agenta czy nie wie o jakimś wolnym miejscu:

— Niech pan jedzie na razie do Świnoujścia — powiedział dając adres znajomej agentki. Ona chyba kogoś potrzebuje. Jak będzie tu wolne miejsce, dam znać...

6.

5 lipca rozpocząłem pracę w lokalu powszechnie znanym pod nazwą „Teksas”. Fajny lokalik. W dzień cały ruch odbywa się przed lokalem, gdzie stoją debowe ławy. Sprzedaje się tylko wódkę i piwo. Wódkę, piwo. Czasem ktoś zamówił żółty serek. Wczorami były dancierki. Jak ktoś ni-

gdzie się nie dostał przyjeżdżał do „Teksasu”. Tu zawsze go wpuszczili. Nie raz młyn był niemożliwy. Goście prosili: — Niech szefowa wpuści, przecież kieliszek nam się jeszcze zmieści. Szefowa kazała wpuszczać. Bo co to kogo obchodzi skoro przy czteroosobowym stoliku goście godzą się siedzieć w osiem osób?...

7.

Była królowa „Teksasu”. Dowiedziałem się o niej jak przyszła na obiad i usiadła w moim rewirze. Zjadła i... zniknęła. Nie idzie już o te 50 czy 60 zł ale o sam fakt! Kumpel mnie pocieszył:

— Nie martw się, ona tu wróci.

Miał rację. Wróciła wieczorem. Z jakimś fakirem. Już podciąłem. Zamówiłem wódeczkę jedną, drugą, trzecią... W pewnym momencie królowa wstała i idąc do toalety podeszła do mnie:

— Dolicz do rachunku to z obiadu i co tam jeszcze uważasz — powiedziała.

Więcej nie musiała dodawać. Wystawiłem im rachunek na 730 zł. Myślałem, że facet wytrzeźwieje.

— Panie, to chyba niemożliwe? Tyle pieniędzy?!

Ale królowa już mu zabrała rachunek: — Kochanie, ja sprawdzę — uspokajała go. Pomruczała coś pod no-

To ja mówię:

— Co, łodziaka chce wykiwać?

Wtedy zaczęli mnie przepraszać. Myśleli, że jestem z Warszawy. Nie wiem dlaczego, ale na środkowym Wybrzeżu nie lubią warszawiaków. Za przyjaźniliśmy się nawet. Jeszcze tego samego wieczoru zaprosili mnie na wódkę.

9.

16 lipca przyjechał kumpel, którego zostawiłem w Międzyzdrojach i mówi:

— Stary, zwolnić się miejsce w „Amorii”. Dawaj, szybko jedziemy.

Na wszelki wypadek najpierw pojechałem sprawdzić. Agent w „Amorii” mówi:

— Przychodź pan od jutra.

Wróciłem więc i podziękowałem szefowej:

— Przykro mi — mówię — fajnie się robiło, ale lecę do Międzyzdrojów, tam jest lepiej.

Ona to rozumiała.

10.

Dopiero w Międzyzdrojach zaczął się chleb prawdziwy! Byli goście, którzy mieli pieniądze i tacy, którzy mają jeszcze pieniądze. Trzeba było do każdego podchodzić dyplomatycznie. Traktować indywidualnie. Obejrzeć faceta, posłuchać, że dwa razy przejść

TAJEMNICE ZAKŁĘTYCH REWIRÓW



Foto: W. Parys.

sem i oddała mu rachunek mówiąc dość stanowczo:

— Tu jest wszystko w porządku.

Facet sięgnął do portfela.

— Jak ty tak mówisz kochanie, to na pewno jest w porządku — zwrócił się do niej, a mnie wyłożył tuzena nie żądając reszty...

Później postawiłem jej wódkę w barze. Ale to się nie liczyło. To koszty własne.

8.

Trzeci dzień w „Teksasie” pracowałem, gdy tubylec wystawił mnie na próbę. Akurat miałem takich gości, do których trzeba było iść z tacą. Eleganckich. Niosłem dwie butelki wódki i dwie wody mineralne. Jeden cwaniaczek podstawił mi nogę. Nie spodziewałem się. Potknąłem się i wszystko spadło. Jedną półlitrowkę podniosłem a drugiej nie widzę. Szukam pod stolikami. Wreszcie dostrzegam, że facet nogą ją zakrył. Był w sandałach. Jak mu przyłożyłem butelkę po odciskach to zawił na całą salę. A ja do niego:

— Co to za numery?!

Za kłapy go i na zaplecze.

Wpadli jego kumple:

— Stary, daj spokój, żartów nie masz — chcieli załagodzić sprawę.

tam go czy podać w butelce? On mówi, że w kieliszkach. Postawiłem więc przed nim sześć kieliszków. Wypił dwa i usunął. Szef mówi do mnie:

— Heniek, tam ci gość śpi.

Lecę więc do niego i tarmoszę za ramię. Ledwie się oknął — chce płacić. Myślał, że po to go budziłem. Skoro facet sam się pisze, zainkasowałem pieniądze. Ale za chwilę widzę, że znów śpi na stoliku. Nie czekam już aż szef mi zwróci uwagę.

— O cholera, muszę panu zapłacić — mówi gość.

— Czemu nie? — myślę sobie i trzeci raz biorę pieniądze. Jeszcze zapytał:

— Nic więcej nie było?

Uczciwie powiedziałem, że nie.

Za czwartym razem jak się obudził miał wątpliwości.

— Czy ja już nie płaciłem?

— Ależ skąd — odparłem — oto pa na rachunek.

Schował go do kieszeni. Zapłacił i wyszedł. Pewnie jak wytrzeźwiał nie mógł się nadziwić, że tyle pieniędzy przepił.

Innym razem gość usnął przy zupie pomidorowej. Całe szczęście, że z ryżem a nie z makaronem. Bo pewnie by się krztusił. Choć był jeszcze dzień, tak się skuli, że zasnął twarzą w talerzu. Słowo. Co wciągnął powietrze to zupy ubywało do połowy talerza. Za moment znów przybywało. Agent przybiegł: — Nie budź go — mówi — jest sensacja, będą pieniądze! Najwyżej jak zupy mu braknie, to doleję...

Całe Międzyzdroje o tym mówili. Ludzie opowiadali sobie na plaży i rehotali.

12.

Bardzo modne były tzw. szwedzkie półmiski. Stawiało się na stole wielki półmisek z wędliną przybraną pomidorami, piekarnikami, listeczkami sałaty, ogóreczkami... Pięknie to wyglądało. Nikt nie pytał ile kosztuje. Dopiero przy placeniu podawało się cenę np. 684,20 zł. Zawsze powyżej 500 zł i nigdy równą sumę. Jak gość protestował, to z nim nie rozmawiałem tylko zwracałem się do kobiety:

— Widziała pani ile tej wędliny było? Żeby tyle nakroić, to musi kosztować. Babka z aprobatą kiwała głową, a facet już bez słowa łapał się za portfelik. Tymczasem koszt półmiska nie przekraczał 150 zł. Kucharz miał taki ostry nos, że mógł się nim gościć. Jak ukroił plasterki wędliny to Warszawa można było przez niego oglądać...

13.

Ktoregoś wieczoru facet sobie zażyczył coś extra. Przyszedł z babką. Kazał dwa krzesła od stolika odstawić. Żeby nikt już się nie dosiadł. Cielcowi powiedziałem, że ma skreślić te dwa miejsca i datem mu 50 zł.

— Niech pan nam poda coś extra, pan jest fachowcem, więc niech pan pomyśli — powiedział gość.

Oczywiście, poleciał kabanoski plonące. Poszedłem do orkiestry, dałem stówę na organy i mówię:

— Widzicie ten stolik z prawej strony? Jak dam znak, to zgasić światło na sali, tylko sprzecz skierujecie na tę parę. A muzyczka cichutko, cześć. Na perkusji...

Kucharz mi przygotował naczynka. Połalem w bufecie kabanoski spirytusikiem, zapaliłem i lecę z tym ogniem przez całą salę. Umyślnie. Niech wszyscy widzą. Wszystko przecież było wyreżyserowane. Z elegancją rozserwowałem na dwa talerzyki. Dopiero wtedy zapaliło się światło. Babka jeszcze popatrzyła po sali, czy wszyscy widzieli. Ładnie się skloniłem i odszedłem.

Te kiełbaski kosztowały ich prawie 900 zł. Kabanosów było zaledwie ćwierć kilo... Facet jednak nie ważył się nic powiedzieć. Chciał mieć coś extra, to miał...

Był taki kelner, który w rachunczku pisał: chlebek, maseiko, bajer — razem 100 zł. Raz wpadł. Gość go pyta:

— Co to za „bajer”?

— Jak to „bajery” pan nie zna? — odpowiedział nie tracąc tupetu.

Miał szczęście, że trafił na gościa z poczuciem humoru. Nie zrobił skandalu...

14.

Pracowałem do końca sezonu. We wrześniu była już tylko zbioróweczka. Inicjatywa prywatna wróciła do swoich domeczków. Bawili się wyłącznie kelnerzy. Bo tylko my mieliśmy teraz pieniądze. Raz wsiadliśmy w dorożkę, i dorożkarzowi od razu pięćset. Z szampanem jedliśmy po kurorcie. Rozlewaliśmy w szklanki i często waliśmy przechodniów. Nikt z nas nie liczył się z kosztami. Szampan lał się strumieniami. Przy pożegnaniu orkiestry wszyscy wlewali go sobie na głowy. Ktoś powiedział, że szampan i szampon to wszystko jedno...

W hotelu gitarzysta zawałał pokojówkę, kazał dokładnie umyć wannę i napełnić szampanem. Wykapał swoją narzeczoną. Stać go było po sezonie...

Jeden gość aż cztery razy płacił mi ten sam rachunek. Przyszedł trochę podciąty i zamówił sześć wódek. Py-

KONRAD TUROWSKI

TELEWIZJA

I.

Pierwszy godzinny film seryjny dla dorosłych pojawił się dopiero w 1963 roku. Nim jednak to nastąpiło, emitowano jeszcze kilka serii przeznaczonych dla młodych widzów.

Pierwsze trzy serie były typowymi filmami kryminalnymi: „Cztery sprawiedliwi” prod. angielskiej, z takimi aktorami, jak: Vittorio de Sica, Jack Hawkins, Dan Dailey i Richard Conte, „Człowiek do wynajęcia” z Patrickiem McGowkiem w roli głównej (także film angielski) oraz „Inspektor Leclere” prod. francuskiej, w którym główną, tytułową rolę odtwarzał Philippe Noireaud. Wszystkie one miały bardzo zbliżony model, bardzo prostą fabułę (półgodzinny odcinek nie pozwalał na zbyt rozwinięte tło) oraz prawie identyczną konstrukcję.

Taka zbieżność konstrukcji filmów kryminalnych będzie dominowała w filmie seryjnym przez wiele lat. Dopiero angielski film „Wielki napad” po raz pierwszy zerwał ze stereotypem i zaproponował niezwykle ciekawy model filmu, w którym pozornie każdy odcinek jest samodzielną całością, ale na końcu każdego z nich odwołujemy się, że był to kolejny punkt odkrycia, przebiegu tego samego przestępstwa. „Wielki napad” to już lata siedemdziesiąte, a pierwsze filmy kryminalne powstały na początku lat sześćdziesiątych. Do wymienionych trzech seria-

twierdziły także listy napisane po emisji filmu. Trzeba także zauważyć, że byli i tacy, których „Dr Kildare” wyrażnie denerwował. Pisali, że film obfituje w złe diagnozy, nieprawidłowe nazwy leków oraz przykłady ich zastosowania. Niemalże tematyka medyczna znalazła liczne rzęsy odbiorców. Niestety, repertuar telewizji nie wziął tego pod uwagę i oprócz Kildara pokazano zaledwie dwie serie lekaarskie — francuską „Cecylia, lekarka wiejska”, polską „Dr Ewa” (zrealizowaną na francuskim przykładzie) oraz po kilka odcinków kanadyjskiej serii „Dr Wojcek” (o lekarzu polskiego pochodzenia).

„Kildare” zapoczątkował kult gwiazd filmów seryjnych. Zaczęły pojawiać się w pismach ilustrowanych zdjęcia Chamberlaina, a prywatna inicjatywa wydała pocztówki z podobizną sławnego lekarza oraz włączyła go obok Sophie Loren i Brigitte Bardot do zestawu gwiazd na lusterkach kieszonek. „Kildare” wywołał także wielkie zainteresowanie realizacją serii telewizyjnych. Ukazało się kilka obszernych artykułów o nowościach telewizji amerykańskiej i sposobach realizacji takich filmów, jak „Kildare”.

Rozwój form filmów seryjnych przyniósł w roku 1962 nowa formuła serialu pełnometrażowego. Dwa filmy produkcji NRD „Niepokój sumienia” i „W poroniu za sensacją” otworzyły drogę cyklicznie składającym się z półtora-

godzinnych odcinków o pełnej rozbudowanej fabule, epickiej narracji filmowej i co jest niezwykle ważne, zbieżności z wydarzeniami autentycznymi. Obydwa filmy, typowo sensacyjne, opierały się na wydarzeniach autentycznych. Gdy filmy seryjne najczęściej sięgają do wzorców literackich, inspiracja w faktach autentycznych była tą drugą ważną drogą czernych tematów. Formuła ta charakteryzuje jednak wyłącznie produkcję krajozawczą (zasada ta panuje do dnia dzisiejszego).

Bardzo ostre reżymy budowania siatek programowej w komercyjnych telewizjach Anglii czy Stanów Zjednoczonych nie dopuszczają zbyt swobodnie do długich filmów, a nie tolerują jej zupełnie w przypadku filmów seryjnych. Ustalone rygory opiewały na 27-28 minut dla odcinków półgodzinnych i 56-58 minut dla odcinków godzinnych. Te pozostawione minuty to czas dla reklamy. Uwzględnienie jej obecności zmuszało twórców do wprowadzenia konstrukcji każdego odcinka zgodnej z tym założeniem. Bez trudu można zaobserwować w typowych amerykańskich filmach o odcinkach 50-minutowych wkomponowaną przerwę (cięcie montażowe), która występuje zazwyczaj w kulminacyjnym momencie akcji. Obowiązywał także rygor dotyczący ilości odcinków. Liczba ta była dostosowana do ilości tygodni w kwartale lub roku. Dlatego też najczęściej pojawiały się serie 13-odcinkowe lub w przypadku bardzo długich 52-odcinkowe. Polska przejęła te wzory stosując formułę serii trzynastodcinkowej, często jednak sięgała do modelu serii 8-odcinkowej (dwumiesięcznej).

Rok 1963 kończył pierwszy okres rodzenia się filmu seryjnego w programie Telewizji Polskiej. Serial występuje jeszcze jakby niemiłosiernie, nieregularnie, ale zwiastuje, że w niedługim czasie będzie pozycja nie do pogardzenia (o czym sygnalizują setki listów i ankietowe badania socjologiczne). Jest to jednocześnie rok, gdy zaczyna się mówić o rywalizacji polskich filmów seryjnych.

Rok 1963 zamknął trzecie (1960-63) intensywne rozwoju bazy technicznej telewizji. Dzięki pomocy społeczeństwa i rad narodowych rok 1964 rozpoczynało ze stanem osiemnastu stacji telewizyjnych dużej mocy oraz ośmiu ośrodków programowych. Wyraźnie zwiększyła się liczba widzów. Rzucono hasło „Telewizor dla każdej wsi”. Rosło

zainteresowanie filmem seryjnym. Pojawili się na ten temat liczne artykuły, aż w sumie ów nagły wzrost zainteresowania nazwał na łamach „Ekranu” Andrzej Kossakowski mianem „Seriomanii 1964”. Był to jakby głos podsumowujący prasową dyskusję na temat realizacji polskich filmów telewizyjnych. Pisał on:

„Wszelki brak umiaru jest szkodliwy. Przed trzema laty okazało się, że inne kraje produkują serie, a my nie, a więc rozpoczęła się produkcja i u nas. Ale z właściwą nam skłonnością do egzaltacji i przesady zapomniano o zachowaniu odpowiednich proporcji i oto młode serie rozpanoszyły się w wytwórniach przytaczając sobą całe otoczenie”.

Faktycznie produkcja filmów polskich ruszyła. Prasa szczegółowo informowała o treści filmu, prowadziła rozmowy z twórcami i aktorami. Prawie równoległe realizowano dwie polskie serie „Barbara i Jan”, „Kapitan Sowa na tropie”. Oba miały charakter kryminalny i obie miały być ta typowa polska wypowiedź filmowa w tym gatunku. Dużo się wtedy mówiło o specyfice telewizyjnej. Jerzy Ziarnik udzielał wywiadu tygodnikowi „Ekran” wyjaśniał, na czym polega różnica konsultowania filmowego obrazu dla telewizji od obrazu dla kina.

Wreszcie „Barbara i Jan” pojawili się na ekranach telewizyjnych. Film nie spełnił oczekiwań. Mimo staran aktorów Janiny Traczykówny i Jana Kobuszewskiego widzowie byli zawiedzeni, a prasa pisała:

„Bardzo chwalenie, że zaczęto produkcję antyimportową seryjnych filmów dla telewizji, ale „Barbara i Jan” nie ma jeszcze zdecydowanego kierunku. Widać niedokładności w realizacji”.

Podobnie przyjęto drugi film „Kapitan Sowa na tropie”. Tu główne role kreowali Wiesław Gołas i Michał Szewczyk. Tym razem telewizywnie byli bardziej krytyczni. W listach do telewizji pisali:

„Wyznając szczerze, że „Kapitan Sowa na tropie” nie wypadł pomyślnie. Filmowi brak nerwu, jest ospały”.

Zdarzały się i głosy bardziej zdecydowane: „Prosimy o usunięcie tego filmu z programu. Nie przedstawia on wybitnych wartości”.

Pierwsza produkcja dla telewizji zawiodła swoich admiratorów. Dopiero trzeci film pt. „Podziemny front” przyjęto ciepło i był to jednocześnie sygnał, że poszukiwania w tym obszarze tematycznym mogą przynieść sukces. Ten siedmiuodcinkowy serial opowiadał o losach grupy „Czwartaków”, powołanej do bezpośredniej ochrony Krajowej Rady Narodowej. Reżyserami poszczególnych odcinków byli Hubert Drapela i Witold Nowicki.

Niedługim czasie ukończono następny film dotyczący okresu II wojny światowej. Film nosił tytuł „Dzień ostatni dzień pierwszy” i był przykładem filmu cyklicznego, gdzie jednym łącznikiem dla poszczególnych nowel były owe dwa dni ostatniej wojny i pierwszy pokój. Tym razem uznano było większe, a jeden z odcinków pt. „Czerwca” w reż. E. i Cz. Petelskich, zdobył nagrodę za scenariusz na II Festiwalu Telewizyjnym w Pradze. Była to zapewne późniejszych sukcesów „Stawki większej niż życie” i „Cztery pancernych”.

W październiku 1965 roku nadano pierwszy odcinek nowej serii wg felietonów Miry Michałowskiej, znanej pod pseudonimem Maril Ziętarowej, „Wojna domowa”. Poszukiwania polskiego filmu telewizyjnego ruszyły w różnych kierunkach. Ten miał być próbą korekty. Liczono na popularność felietonów, znakomitą obsadę aktorską (A. Janowska, I. Kwiatkowska, A. Szepkowska, K. Rudzki) i efektywną tematykę. Film wywołał burzę kontrowersyjną. Publiczność krytykowała go za ukazywanie młodym widzom niedoświadczenia pedagogicznych ich opiekunów w sposób przynajmniej ujemne skutki wychowawcze.

Zupełnie innego rodzaju sukces odniosła polska „Chwila wspomnień”. Nie fascynowała nowością, gdyż wizerunek świadomością zacierpnięty z przyjętego przez polską widownię telewizyjną bardzo przychylnie, serialu angielskiego. Powrót do ważnych, historycznych dla rozwoju Polski Ludowej momentów w formie autentycznego filmowego dokumentu w dodatku opartego w większości o niezwykle popularną wtedy Polską Kronikę Filmową, był chwytem trafnym i uwiecznionym sukcesem. O tym jak zrodził się pomysł współczesnej filmowej kroniki wspominał sam twórca:

„Pomysł zrodził się w r. 1963. Materiał do jego realizacji było aż nadto — liczyły kilkadziesiąt kilometrów filmowych zdjęć z autentycznych wydarzeń naszej najmłodszej historii. W Wytwórni Filmów Dokumentalnych powstał komitet: A. Bargielowski, J. Bosak, Z. Kniatkielucki, H. Lemańska, B. Rybczyński, W. Wertheimstein. Ustalono, że grupa reżyserów opracuje w formie felietonów filmowych materiały dotyczące poszczególnych lat z dwudziestolecia Polski Ludowej. Do pracy nad filmami przystąpili reżyserzy: Jerzy Bossak, Jerzy Dmowski, Jerzy Hoffman i Edward Skórzewski, Janusz Kidawa, Jan Łomnicki, Ludwik Perski, Andrzej Piekutowski, Włodzimierz Pomianowski, Bogusław Rybczyński, Robert Stando”.

Szesnaście odcinków „Chwili wspomnień” w każdą niedzielę i czwartek porządkowo od 22 lipca 1964 r. przyciągało do telewizorów prawie całą Polskę. Pisano wtedy:

„Rewelacyjność polskiej „Chwili wspomnień” polega na tym, że jest to nowoczesny, komiksowy niejako podręcznik dwudziestoletniej historii Polski Ludowej”.

WIETNAM

„MAM KWALIFIKACJE KIEROWCY...”

Dalszy ciąg ze str. 1

Wojna skończyła się, ale siły reakcji nie złożyły jeszcze broni. Dziennik „GIAI PHONG” poinformował niedawno o „zlikwidowaniu przez południowo-wietnamskie siły bezpieczeństwa grupy sabotażowo-dywersyjnej prowadzącej wrogą działalność w prowincji AN GIANG. W czasie starcia zabito jednego sabotażystę, 29 aresztowano. Przejęto składy broni i amunicji”.

Odziedziczono też po upadłym ustroju 150 tys. prostytutek, 100 tys. narkomanów. Statystyki zanotowały 300 tys. napadów i kradzieży w ciągu roku. Działają jeszcze nielegalna prasa, puszcza się w obieg fałszywe pieniądze.

Młoda dziennikarka radiowa z miasta Ho-Chi-Minh mówiła nam, że otrzymuje anonimowe telefony i listy z pogroźkami. Jest na podziemnej „czarnej liście”.

— Idą na to duże pieniądze! Wiadomo skąd. Ale my się tym nie przejmujemy — powiedziała z uśmiechem i ruszyła swą zdezolowaną HONDA, ze swym nieodstępnym magnetofonem SONNY.

Na południu Wietnamu zjednoczenie oznacza budowę nowej władzy, przebudowę gospodarki — przemysłu i rolnictwa. Reorganizacji wymaga oświata i służba zdrowia. Przed nową władzą piętrzą się tysiące niełatwych do rozwiązania problemów. Muszą minąć lata, by zjednoczony kraj mógł pracować normalnym pokojowym rytmem. Niełatwo jest przełamać skutki narosłe przez lata wewnętrznej podziału i rozdarcia wietnamskiego społeczeństwa. Działło się przecież tak, że życie kierowało ojca do partyzantów w dżungli, a syna do armii południa.

Na porządku dziennym stanęła więc sprawa reedukacji, resocjalizacji; konieczność dania szansy zrehabilitowania się dziesiątkom tysięcy tych, którzy często nie z własnej woli, ale też czasem z jej braku stanęli po stronie przeciwnicy. Wojskowy Komitet Administracyjny Sajgonu już 11 maja 1975 roku, więc kilkanaście dni po wyzwoleniu, podjął decyzję o stworzeniu pierwszych kursów reedukacyjnych dla członków administracji sajsjońskiej. Korrespondent AFP donosił w kłódkę miesiąc potem, że kursy takie skończyły około miliona dawnych urzędników. Niektórzy z nich musieli się poddać szkoleniu dłuższemu niż 6 miesięcy.

Trudniejsza jest sprawa z byłymi wojskowymi armii południa. Od wielu miesięcy prasa zachodnia donosiła o straszliwych warunkach, w jakich żyją byli oficerowie wojsk sajsjońskich. Toteż kiedy zapowiedziano nam możliwość wyjazdu do dwóch ośrodków reedukacyjnych wywołało to zrozumiałe zainteresowanie.

Pierwszy ośrodek mieści się 130 km od HO-CHI-MINH na pograniczu z Kambodżą w prowincji TAY-MINH. Wiedzie do niego marna, polna droga, pełna kurzu i wybojów. Kilkadziesiąt bambusowych chatek, wielka świetlica z telewizorem i serialem gazetek ścisłych. Hasła: „Wszystko dla produkcji, dla socjalizmu”, „Wszystko dla zjednoczenia ojczyzny i osiągnięcia trwałego socjalizmu”.

Ośrodek zamieszkuje byli oficerowie do stopnia pułkownika. Proces reedukacji odbywa się poprzez wykłady, rozmowy, pracę fizyczną przy wytworzeniu narzędzi rolniczych ze złomu wojennego i pracę na roli przy uprawie plantacji ryżu, drzew owocowych, roślin leczniczych. Pensjonariusze mieszczą po kilku w bambusowych chatkach, uprawiają małe przydomowe ogródki, utrzymują stały kontakt z rodzinami. Warunki życia nie są złe.

Major VOT-HAN-LIEM nie może wyjechać na liczby przebywających tu oficerów. Utrzymuje, że praca uświadomiaczka postępuje, ale bynajmniej nie jest łatwa.

— Trudno zmienić od razu mentalność człowieka dorosłego, wychowa-

nego w innym duchu — mówi — To musi potwać.

W drugim ośrodku, mieszczącym się w barakach dawnej amerykańskiej bazy lotniczej w pobliżu miasta, spotykamy się już z samą górą byłego marionetkowego rządu i armii południa. Dowódcy lotnictwa, broni pancerniej, marynarki wojennej, wywiadu. Sami generałowie. Major MINH-HOA — komendant obozu — zwraca uwagę na smukłą sylwetkę byłego generała sajsjońskiej dywizji, zarazem wicepremiiera NGUYEN-HUN-CO, zajętego podnoszeniem ciężarków. Obok w koszulce gimnastycznej były dowódca sajsjońskiej marynarki wojennej. Po wykładach i gimnastyce pranie, gotowanie, lektura, telewizja. Korrespondentem prasy i TV sajsjoński generałowie zaśpiewali „Katusze”.

Rozmawiałem z byłym generałem brygady TRAN-BA-DI. Jest wybitnym specjalistą dywizji, skończył liczne kursy w ośrodkach armii amerykańskiej, ma najwyższe poludniowe odznaczenia. Był człowiekiem wielce „zasłużonym” w walce z partyzantką. Nie opuścił kraju, jak wielu jego kolegów?

— Jak wielu moich kolegów, których pan widzi koło mnie — mówi. — Mam tu liczną rodzinę. Tu i na północy. Mam też szansę powrotu do normalnego życia. Co będę robił? Nie liczę na pracę w wojsku. Mam kwalifikacje kierowcy ciężarówki, zona prowadzi sklep z jarzynami. Jakoś damy radę z wychowaniem sześciorga naszych dzieci. Teraz żona przyjeżdża do mnie raz w miesiącu. Przywozi trochę żywności, bo z tym tu kłopot, kto chce lepiej jeść musi otrzymywać pomoc z domu. Ale i bez tego nikt nie cierpi głodu. Na czas spotkania małżonków koleżki wynoszą się w cień bananowego sadu...

— Czy zdarzały się wypadki ucieczek z ośrodka? — pytam majora MINH-HOA.

— Nie. Jak pan widzi straża mają tu charakter raczej porządkowy. Staramy się w miarę możliwości stworzyć dobre warunki i atmosferę sprzyjającą powrotowi do życia w nowym społeczeństwie. Można stwierdzić, że niemal wszyscy chcą skorzystać z szansy jaką im dajemy...

Z tej szansy skorzystał już były pułkownik — lekarz TRAN-GUANG-MINH. W dniu wyzwolenia nie porzucił rannych w swym szpitalu. Został na posterunku jeszcze przez 7 miesięcy po wyzwoleniu. Posiadał odziedziczony po teściowej własny szpital na 28 łóżek z pełnym, nowoczesnym wyposażeniem. Przekazał go naszym władzom. W ośrodku reedukacyjnym był tylko 15 dni. Dziś prowadzi prywatną praktykę. Pomaga mu żona — farmaceutka. W małym gabinecie przyjmują dziennie 40-50 pacjentów.

Atmosfera życzliwości wokół tych, których los postawił po przeciwnym stronie sprzyja procesowi integracji społeczeństwa Socjalistycznego Wietnamu. Jeszcze ostatnie pytanie do komendanta ośrodka.

— Czy nie zaobserwował pan wśród swego personelu chęci rewanżu za okrutne metody postępowania sajsjończyków wobec działaczy politycznych i partyzantów FWN WP, za owe „tygrysy kłatk”? —

— Przeciwdziałamy natychmiast takim wypadkom. Zdarzały się one zresztą bardzo rzadko. Powiem panu coś innego. Mamy jak wiadomo ogromne kłopoty z roszkodowaniem obrzniętych terenów pół uprawnych. Głną przy tym, co tu kryć, nasi młodzi saperzy. Szkoła ludzi... Odwiedził nas niedawno pewien pisarz z Europy zachodniej. Zaproponował, aby te miny usuwali pułkownicy i generałowie byłej armii sajsjońskiej. Oczywiście, „pomyśl” zdecydowanie odrzucano! Z reedukacją tych panów sami sobie damy radę — kończy major. — W budowie kraju przysła się każda para rąk!

WIESŁAW MACHEJKO



Foto: W. Machejko

MACIEJ ŁUKOWSKI

DLA dorosłych

li warto dodać jeszcze „Sherlocka Holmesa” i „Trzeciego człowieka”, aby mieć w miarę pełny obraz ówczesnych filmów dla dorosłych.

Niestety, nie zdobyły sobie te filmy zbytecznego uznania. Sama telewizja doprowadziła częściowo do tego, gdyż konsekwentnie uniemożliwiała systematyczne oglądanie poszczególnych odcinków, nadając je z różną częstotliwością w różnych dniach tygodni i o różnych porach. Wszystkie te posunięcia były oczywiście zaprzeczeniem podstawowej zasady emisji filmów seryjnych, a mianowicie rytmiczności. Nieco inny błąd popełniono przy emisji serialu godzin Wallace, które dla odmiany nigdy nie opatrywano tytułem serialu. Faktycznie nie przywiązywała w tym czasie Telewizja Polska wiele uwagi do funkcjonowania seriali w programie. O wiele porządniej były poukładane w ramowym programie seriale dla dzieci niżi filmy dla dorosłych.

Wydarzeniem była emisja pierwszego odcinka amerykańskiego serialu pt. „Doktor Kildare”. Było to 30 czerwca 1963 roku. Uśmiechnięty, ciępliwy i przystojny lekarz (grał go Richard Chamberlain) ze szpitala Blair General Hospital w Los Angeles oraz jego szef dr Gilespi podbili serca widzów. „Kildare” był tematem codziennych rozmów, godzinny emisji kolejnych odcinków dezorganizowały życie, telewizywnie przekazywali swe uczucia w ogromnych ilościach listów, jakie napływaly do telewizji:

„Wszyscy przepadają za Kildarem. Dlaczego? Bo przedstawia ideal męzczyzny szlachetnego, rozumnego, uczynnego, wraca wiarę w lekarzy, bo uczy i zaciekawia” — motywowali.

Film ten zdobył także ogromną popularność w Stanach Zjednoczonych. Powody takiej popularności starał się wtedy wyjaśnić Jerzy Tomliński.

„Dla wielu nawet średnio zamożnych ludzi choroba jest czymś niestychanie kosztownym, wręcz rujnującym, nie istnieje bowiem przymusowe ubezpieczenia społeczne, a dobre wcale nie drogie i nie wystarczające. Utracić zdrowie to katastrofa, a mieć o chorobie spędku w USA niejednemu sen z powieki. Na tej żyznej glebie nastrojów zrozumiałej bojaźni i kulturowanej przez producentów lekarstw i leków — hipochondrii, wyszło oerme zainteresowanie publiczności telewizyjnymi opowieściami o lekarzach”.

Chociaż w Polsce serial trafił na zupełnie inny grunt, to jednak zainteresowanie zagadnieniami zdrowia jest w społeczeństwie nie mniejsze, co po-

godzinnych odcinków o pełnej rozbudowanej fabule, epickiej narracji filmowej i co jest niezwykle ważne, zbieżności z wydarzeniami autentycznymi. Obydwa filmy, typowo sensacyjne, opierały się na wydarzeniach autentycznych. Gdy filmy seryjne najczęściej sięgają do wzorców literackich, inspiracja w faktach autentycznych była tą drugą ważną drogą czernych tematów. Formuła ta charakteryzuje jednak wyłącznie produkcję krajozawczą (zasada ta panuje do dnia dzisiejszego).

Bardzo ostre reżymy budowania siatek programowej w komercyjnych telewizjach Anglii czy Stanów Zjednoczonych nie dopuszczają zbyt swobodnie do długich filmów, a nie tolerują jej zupełnie w przypadku filmów seryjnych. Ustalone rygory opiewały na 27-28 minut dla odcinków półgodzinnych i 56-58 minut dla odcinków godzinnych. Te pozostawione minuty to czas dla reklamy. Uwzględnienie jej obecności zmuszało twórców do wprowadzenia konstrukcji każdego odcinka zgodnej z tym założeniem. Bez trudu można zaobserwować w typowych amerykańskich filmach o odcinkach 50-minutowych wkomponowaną przerwę (cięcie montażowe), która występuje zazwyczaj w kulminacyjnym momencie akcji. Obowiązywał także rygor dotyczący ilości odcinków. Liczba ta była dostosowana do ilości tygodni w kwartale lub roku. Dlatego też najczęściej pojawiały się serie 13-odcinkowe lub w przypadku bardzo długich 52-odcinkowe. Polska przejęła te wzory stosując formułę serii trzynastodcinkowej, często jednak sięgała do modelu serii 8-odcinkowej (dwumiesięcznej).

Rok 1963 kończył pierwszy okres rodzenia się filmu seryjnego w programie Telewizji Polskiej. Serial występuje jeszcze jakby niemiłosiernie, nieregularnie, ale zwiastuje, że w niedługim czasie będzie pozycja nie do pogardzenia (o czym sygnalizują setki listów i ankietowe badania socjologiczne). Jest to jednocześnie rok, gdy zaczyna się mówić o rywalizacji polskich filmów seryjnych.

II.

Rok 1963 zamknął trzecie (1960-63) intensywne rozwoju bazy technicznej telewizji. Dzięki pomocy społeczeństwa i rad narodowych rok 1964 rozpoczynało ze stanem osiemnastu stacji telewizyjnych dużej mocy oraz ośmiu ośrodków programowych. Wyraźnie zwiększyła się liczba widzów. Rzucono hasło „Telewizor dla każdej wsi”. Rosło

LIGA NASZA
CODZIENNA

Wywalczyli olimpijskie srebro, ale właściwie wrócili na tarczy. Na lotnisku witali ich tylko najmłodsi kibice, a — jak twierdzą naczyni świadkowie — stróżę porządku, których więcej było niż witających, niepotrzebnie ustawiali się w kordon, bo nikt nie miał zamiaru przez ten kordon się przedzierać.

Wywalczyli srebro i wszyscy poczuliśmy się zawiedzeni. Jeszcze rok wcześniej, no góra dwa, znów mówiliby się o nich — nasi wspaniali chłopcy. Teraz ponoć mówi się o nich „kopytkarze”. Sprawili zawód, bo w gruncie rzeczy wszystkim, co rozsądniej myślącym kibicom nie chodziło o jakosć medalu, a o jakosć gry. A z tym ostatnio było sami wemy jak.

Zycie na szczęście toczy się naprzód i mamy nowe smartwienie. Oto „Trybuna Ludu” 11 sierpnia br. czyli na krótko przed rozpoczęciem nowego sezonu ligowego donosi: „Podczas ostatniego posiedzenia zarządu PZPN zapadła decyzja o degradacji Zagłębia Konin do „A” klasy. (...) Działacze Zagłębia Konin dopuścili się bowiem naruszenia paragrafu 17 przepisu rozgrywek i przekupili zawodników RKS Błonie, dzięki czemu wygrali mecz i zdobyli w nieuczciwy sposób punkty niezbędne do awansu do II ligi. Zażądano kara spotkań obydwu klubów — w nowym sezonie będą grać w „A” klasie.

To jeszcze nie koniec machlojek, które miały ułatwić występy w II lidze. Zgodnie z regulaminem, na miejsce zdyskwalifikowanego Zagłębia do I ligi ma wejść Concordia Piotrków. Ale teraz PZPN dmucha już na zimne i trzeba będzie sprawdzić, czy wszystkie mecze w tej grupie odbyły się w zgodzie z przepisami. I to jeszcze nie koniec. PZPN, a ściślej Wydział Lig i Gier musi zbadać w jakim stopniu były „czyste” rozgrywki drugiego klubu, który również wywalczył awans do II ligi, a mianowicie Stal Brzeg. I znów cytuję „Trybuna Ludu”, w której wypowiada się na ten temat Bolesław Górnicki, przewodniczący Wydziału Lig i Gier PZPN: „Sa uzasadnione przypuszczenia, że w jego barwach (Stal Brzeg — przyp. B.M.) występował zawodnik nie uprawiony — Aleksander Pokin-Socha, który w tym samym sezonie grał — co nie jest dozwolone — w MZKS Nysa. Jeśli te przypuszczenia się potwierdzą, Stal Brzeg podzieli, niestety, los Zagłębia Konin i RKS Błonie”.

Dobre? Takie sobie. Bo wcale nas PZPN nie zaskoczył. Od dawna mówiło się, że niedrogiymi wypiękami na twarzy, o różnych machlojkach, przetargach, dużej forsie, która często zastępowała średni w wykonaniu sport. Pamiętna „niedziela cudów”, trochę na zbyt wielką skalę, jak na nasz materialistyczny światopogląd, pokazała, że nie ma cudów, jeśli nie ma pieniędzy. PZPN — wszyscy to pamiętamy — postawił wówczas twarde zalecenia, zagroził sankcjami. Trochę nie wierzyliśmy, że kogoś tam się uda złapać za rękę. Pierwsi „nieostrożni” już są.

Ale tak naprawdę, to nie ma się z czego cieszyć. Paru asów pierwszej ligi złożyło podania o przeniesienie do innego klubu. O co przede wszystkim chodził, też od dawna było publiczną tajemnicą. I tu, musimy powiedzieć, z satysfakcją przeczytałem artykuł Zygmunta Lenkiewicza pt. „Demoralizacja wychowawczych”, artykuł opublikowany w 32 numerze „Piłki nożnej”. Bądź co bądź organu PZPN. Lenkiewicz opisuje po prostu wszelkie, a i tak nie wszystkie, możliwe machinacje klubów, które chcą zatrzeć dla siebie nowego zawodnika od „kolegi”. Nie musimy tych sposobów streszczać, bo każdy kibic z trybuny stadionu je zna. Chętnie jednak przeczytać zakończenie artykułu Lenkiewicza. Pisze on: „Wymagają więc zupełnie nowego uregulowania takiej sprawy, jak: status piłkarza, określenie jego praw i obowiązków, przepisy o zmianie barw klubowych, przepisy regulujące gospodarstwo finansowe klubów, wyjazdy zagranicę piłkarzy, zasady awansu talentowanych jednostek do wyższych klas rozgrywkowych”.

Trudno się z Zygmuntem Lenkiewiczem nie zgodzić. Tym bardziej że o statusie piłkarza, o naszym piłkarskim amatorstwie, wreszcie o niezdrowej i demoralizującej atmosferze panującej — niech będzie za optymistkę — w niektórych klubach, mówi się nie od dziś.

W tej sytuacji uważam, że nie doceniamy naszej reprezentacji — piłkarskiej. Przecież mieli jednak „pewną ochotę” powalczyć o to srebro.

BOGDA MADEJ

POWIEŚĆ W ODCINKACH

(2)

— Nie bardzo — rzekł Peduto i przymrużywszy oczy, zmierzyl krótką, kwadratową postać pułkownika. — Ale jak się raz wybierzesz na taką wycieczkę...

— Ja i tu schudnę, Antonio — skwapliwie przerwał pułkownik. — Wylczyłem sobie: jeżeli codziennie zrzuć około stu gramów, to za trzy kilo w ciągu miesiąca. Za pięć miesięcy znów będę podobny do człowieka.

— Za to masz wiele powodów do szczęścia uśmiechając się rzekł dobitnie major i wyciągnął przed siebie nogi. — Gdyby nie nasza przyjaźń, naprawdę bym ci zazdrościł. Tak, tak, szczęściarzu ciębie.

Półnagi Spartaco popatrzył na niego niecierpliwie; cichy, słodki, ledwo dostrzegalny uśmiech nikał w pełnej kurzu brodzie Antonia.

— Czyżby znów order? — spytał pułkownik łamiąc grubą brew.

— Prawdziwy order — powiedział major. — Boże, jak tobie wszystko idzie od ręki.

— Nie męcz mnie dłużej — wybuchnął pułkownik i wstał.

— Wiadomość jest zbyt radosna, żeby mógł ci ją przekazać w takim pospiechu — rzekł major i zapalił fajeczkę.

— Jeżeli zaraz mi nie powiesz peknę — zagroził spocony pułkownik i rozciągnął sprężynę do końca. — Antonio, spójrz, tak peknę!

Major wstał i rozsunął firankę. Przez dym snujący się z fajki urządził jeden z pochylonych domków; tę starą, dobrze znaną, szpetną karczmę oblegali dwurogie zielone furazki. Długo patrzył na gitarzystę i uśmiechał się. Potem dostrzegł innych i zmarszczył brwi. Z banknotami w rękach i już rozpiętymi spodniami żołnierze tłoczyli się u wejścia. Tamci wewnątrz, w półmroku, nie zważali na przekleństwa, a tym mniej na prośby i pokrzykiwania. Niektórzy znał, innych nie. A byli podnieceni; słonice wyzywająco świeciło, więc pocił się i męczlił nawet ci, co siedzieli pod drzewami.

Prawie zapomniawszy o pułkowniku, w napięciu patrzył. W ramie krzywego okna, powalone na wznak białe ciała dwóch kobiet. Białe wśród ścian i mundurów, do połowy zasłonięte ruchliwymi żołnierskimi plecami, wzbudziły w nim szczerzy żal. Przed oczyma stanęły mu wszystkie podobne miejsca, które odwiedzał, odkąd założył żołnierski pas. Przypominał sobie różne domy publiczne, bezwzględnie biedackie i wiecznie rozłożonymi nogami i spustoszonymi oczyma. I pomyślał, że już od dawna nie go tak nie zasmuciło. Może by i spuścił oczy, gdyby nie ten zgarbiony żołnierz o długiej szyi: chodził po ciemnej izbie, pochylał się to nad jednym, to nad drugim klebowiskiem, uderzał w struny gitary i jakby znajdował się całkiem gdzie indziej, płacząc śmiejąc: *Catari, Catari, perche me dice sti parole*. Nie odróżniając drugich od pierwszych, ani ostatnich od tych, którzy smutnie zapatrzeni przed siebie odchodzili, żalono kobiece ciała za przyzwyczajenia kurczyły się i wyginały, obojętne na kapłanie ponad nimi, urwane słowa żołnierza: *O core, core 'ngrato... tutt' e passato...*

Wokół fajeczki Antonia dym gestnił coraz bardziej, aż go piekły oczy. Odwrócił się powoli. Zaniepokojony i zły pułkownik nastawał:

— No, Antonio, o co chodzi? Czego się doczekalem?

— Syna się doczekałeś — powiedział cicho major.

Pułkownik z wściekłością cisnął sprężynę, zlorzęcać Bogu i wszystkim świętym. Zaskoczony Antonio spojrział na niego z wyrzutem. Twarz pułkownika wykrzywił nowy grmas złości. Allegretti złożył ręce na plecy i zaczął szybko chodzić pomiędzy kanapą i biurkiem. Major przyglądał mu się gryząc fajeczkę.

— Pewnie to albański kurwicz — powiedział pułkownik jakby do siebie. — Ta pluga wa żmija!

— Greczynka! — zawołał major i wybuchnął żarliwym śmiechem. — Twoje cudo, twoja jedyna, twoja niezastąpiona, egzotyca Alikki. Hi, hi, hi...

— Słuchaj, Antonio, to wcale nie jest śmieszne — powiedział półnagi Spartaco Allegretti i potrząsnął go za ramiona. — Najogledniej mówiąc, żalono. Nie rozumiesz, dlaczego się tak śmiejesz. Denerwuje mnie twój chichot, Antonio.

— Spartaco miły — z trudem sylabizował Peduto. — Nie śmieję ja się z ciebie, ale z siebie. Uprzytomniłem sobie w tej chwili, że za mną żadna, nawet cnotliwa, a co dopiero kurwa nie chciała mieć dziecka, i naprawdę jestem przez to nieszczęśliwy, tak bardzo nieszczęśliwy, że jak szalony będę się śmiał, dopóki nie zasne. A ty, niech cię diabli porwą, jesteś rzadki okaz, chluba naszej pięknej i zepsutej rasy.

— Słuchaj, Antonio — zaczął pułkownik niemal z płaczem. — To naprawdę nie jest śmieszne; to... to już piąty syn. Szczerze mówiąc, to nawet niesmaczne. Pomyślał, że jestem Chłiczkiem.

Major chichocząc przechylił się na krześle — mogła mu upaść fajeczka. Nad nim stał czarny, rozczochrany Allegretti i wściekle kłął.

— Listy są na dole, w samochodzie. Wszystkie po grecko-włosku. Czytałyśmy je głośno w Sztapie. Głównym. Zeszło się tam przypadkiem kilku generalów.

— Którzy? — pułkownik wytrzeszczył oczy i zbladł.

— Vigorelli, Basso, Tozzi. I jeszcze jeden, bez oka.

— Dobrze przynajmniej, że nie było tam Besty — rzekł z ulgą pułkownik. — Tego intryganta i cynika.

— On też był — powiedział Antonio. — Pozdrawia cię. Nie wiedziałem, że tak dobrze się znacie. Na dźwięk twojego imienia wybuchł śmiechem. Podobnie jak ja zresztą.

— Co mówił?

— Przede wszystkim śmiał się. A w końcu obiecał, że przyjedzie tu z wizytą.

— Żebym wiedział, że wrócisz z takimi wiadomościami, wcale bym cię nie wysyłał i drzwi bym ci nie otworzył.

— Ona właściwie pisała do generałów Vigorellego i Basso — powiedział Peduto.

— Kto pisał?

— Ona.

— Ty znów o tym greckim kurwicz-

Pułkownik zacisnął pas i przesunął rewolwer z brzucha na bok.

— General Tozzi był po prostu uszczęśliwiony, dowiedziawszy się, że ona, ta Greczynka, dała swojemu bekartowi na imię Cesare — powiedział major i ziewnął. — Cesare-Claudio.

— Na Boga, Antonio — zawołał Spartaco. — Jeden z moich synów już ma tak na imię. Ona jest bezczelna albo szalona.

— Ty to wiesz najlepiej — rzekł Peduto i znów zapalił fajkę.

— Ale co jej strzeliło do głowy — spytał skrzywiony pułkownik — Dlaczego nie dała mu, na przykład, twojego imienia?

— Mówiłeś, że wciąż ci opowiadała o starożytnym Rzymie — powiedział Antonio. — Nie pamiętasz? I mnie opowiadała, obawiam się, że innym też, ale tobie w każdym razie najwięcej. Rzymianie to jej obsesja.

— Co my mamy wspólnego z tymi „medrcami”, pijakami i rozpustnikami? — uniósł się pułkownik i omalże rozciągnął sprężynę. — W przyszłości będę strzelał do każdego, kto pozwoli sobie na takie porównanie!

Coraz więcej cywilów i żołnierzy

licznej i zapewne przyzwoitej rodziny. Zresztą najdziwniejsze, że wszyscy uwierzyliście temu kurwiczcu.

— Powiedz to generalowi, jak przyjdzie. A mnie pozwól odrobić się wyspać.

— Protestuję, po stokroć protestuję! — jak ukłuty szpilką podskoczył pułkownik i odruchowo spojrzął na twarz w ramach portretów. — Oświadczam, że złożę skargę; wymienię wszystkie osoby, łącznie z tobą, może nawet i generała... a więc wszystkie osoby, które utrzymywały intymne stosunki z wymienionym greckim monstrum.

— Dbać o szarżę, Spartaco — sennie przeciągnął major. — Lepsze już cudze dziecko niż degradacja i hańba.

— Antonio, czy ty chociaż trochę mnie rozumiesz? — Allegretti ścisnął brwi i wargi i cisnął przyjaciela za ramiona. — Czwororo dziecię z ślubną żoną, choć to w gruncie rzeczy prostackie, jeszcze można wytrzymać. Pięte z jakąś portową zdziurą! Jak dobrze pójdzie, po tych kilku latach, gdy ostatecznie wygramy wojnę, wrócę do Włoch na czele stada bekartów z całego świata. Lepiej już odebrać sobie życie albo natychmiast polec za ojczyznę.

— Uwielbiam cię — powiedział Antonio ruszając ku drzwiom. — Wspaniale nas reprezentujesz; przyczyniasz się do niebywałego przystępu w naszym zdrowiu, bohaterskim i przerażającym narodzie. Bądź pewny, że w którejś z moich przyszłych książek poświęcę ci nieladen rozdział. Będę szczerzy: sam nie wiem, co bardziej interesujące — ty, twoje imię czy twoje nazwisko.

— Oświadczam ci, że Spartaco Allegretti nie pozwoli wystrychnąć się na dudka! — rzekł pułkownik przyjmując wojowniczą pozę. — O nie, choćbym miał wziąć się za bary z generałem. Gotów jestem odwołać się aż do samej góry. A teraz mów, co nowego na froncie. I proszę, o bekartach nie chęć więcej słyszeć. No, zacytuj.

— Zostawmy to na jutro — powiedział major kładąc rękę na klamce. — Jestem przemęczony.

— Twoje najważniejsze wrażenie? — zmarszczył brwi pułkownik — Żebym miał o czym rozmyślać do jutra.

— Walczyliśmy za świętą sprawę — powiedział major jak na scenie i wyszedł za próg. — W tej walce odnosiśmy zwycięstwa. A czy tutaj coś się dzieje?

— Właściwie nic — rzekł pułkownik.

— To cześć, groźny Spartaco — powiedział zmęczonym głosem major.

— Cześć, Antonio — rzekł męzny pułkownik i przyrząd do rozciągania gniewnie cisnął pod kanapę.

Zegar bezlitośnie wybił wpół do pierwszej. Osowiały pułkownik stał przy oknie i bawił się firanką. Patrzył na mały, wyboisty, bezkształtny rynek, który zaczynał się, można powiedzieć, tuż przed jego oczyma. Z tego miejsca dźwięki było widoczne: pochylone domki starego miasteczka i dachy pokryte łuską dachówek, z chorośliwymi naroślami kominów, i cerkiew prawosławna z dziwaczną kopułą, której krzyż byłoby widać, gdyby nie ten upał, kurz i dym; i smukły pobielony meczet, wokół którego zawsze, nie tylko w święta, snul się jakiś ponury, wychudzony i wylekły naród. Niebo, rozpalone i gluhe, opierało się niewidocznymi brzegami o rozkopane, obwarowane góry, wśród których skulilo się i przyćmupno zniszczone miasteczko. Rzeki pułkownik nie widział, ale słyszał, jak szumi, jak ucieka od kurzu, smrodu miasteczka i od kolczastego drutu, który przecinał ją w kilku miejscach.

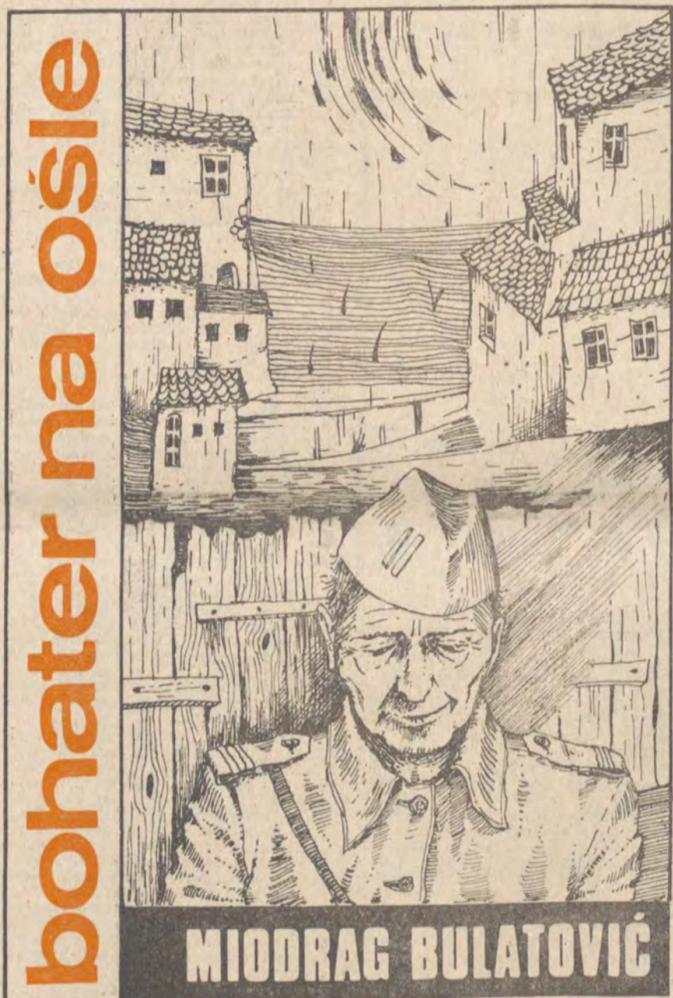
Gdyby chciał, mógłby dać odpocząnek oczom, patrząc na sklepiki okalające rynek. Były to niepojęte dla niego przybityki handlu, często przypominające po prostu sporą skrzynię, wypełnione czym się tylko dało: mnóstwem paciorków i sezyoryków, paseczków i mydełek; słowem wszystko, od igły do strzały, od noża do szabli, mógł człowiek znaleźć w tych norach i składach.

Cały ten światek — który pelzał po uliczkach, leniwie snuł się wokół licznych szynków i przestronnych karczem, pełnych cywilów i żołnierzy, od raku raki i przeluszczonych potur — złościł pułkownika; twarze, o których wiedział, że od dawna są sobie wrogie, zbliżały się do siebie i szeptały; jedna przy drugiej, podejrzane, w czarnogórskich czapkach i strojach mużlańskich fezach, w dymie tytoniowym, gotowe do szepotu, uśmiechały się to przyjaźnie, to fałszywie.

(cdn)

Przełożyła:
DANUTA
CIRLIĆ-STRASZYŃSKA

* *Catari, Catari*, czemu mi mówisz takie słowa
** *O serce, serce niewdzięczne... wszystko minęło...*



bohater na osie

MIODRAG BULATOVIĆ

Rys. J. Szymański — Glanc

czu — westchnął pułkownik wywracając oczyma.

— Listy trafiły do rąk generała Besty, który nauczył się ich, można powiedzieć, na pamięć.

— Ten Besta to swego rodzaju morderca — rzekł Spartaco zaciskając pięści.

— Jak tam morderca — sprostował Antonio — On też ma bekartą, tyle że płci żeńskiej i w Albanii Ukrywa to. Ale general Basso twierdzi, że prawie wszyscy o tym wiedzą.

— W rzeczy samej, jestem otoczony zwierzętami i mordercami — powiedział Allegretti — Czasem myślę, że najlepiej byłoby rzucić się na komunistów i zginać.

— Jeżeli tak, to nie musisz na siłę się odchudzać — powiedział zmęczony major.

Pułkownik nerwowo wciągnął buty. Antonio ospale mierzwił brodę, pykał z fajki i snuł swoją opowieść:

— Najbardziej śmiał się general Vigorelli, po prostu zanosił się ze śmiechu, przeczytawszy, że ona, ta Greczynka, mimo wszystko cenil nasz nowy ład i życzy nam całkowitego zwycięstwa.

— O, bestia grecka! — wybuchnął pułkownik i wysunął masywną dłoń szcękę — Odkąd kurwy nam kibicują coraz gorzej z nami!

— General Basso też tak twierdzi — powiedział major — Ja się natomiast nie zgadzam. Podbić serce kurwy to dla mnie najrzadsze i najcenniejsze zwycięstwo.

zbięrało róg wokół popa Vukicia. Trzymając róg firanki Peduto patrzył, jak jego brodaty przyjaciel odpycha nawet podoficerów. Nie był delikatniejszy w stosunku do dziewczyny o białych policzkach i okrągłych, niewesołych oczach; na imię ma Dana — przypomniał sobie Antonio. Wyciągała ku czarnej sutannie długie wątle ręce. Pop Vukic, traktując wszystko wokół siebie, powoli zbliżał się do Komendy; nawet gdy przegrywał w karty, nie był taki wściekły. Przypatrując się Danie, która prawie że płakała, Antonio powiedział:

— Wzbudziłyśmy zapał nie tylko w niej, ale że tak się wyrażę w całej Grecji. Mnóstwo ich pisze. Niemal wszystkie zaczynają od naszych sławnych przodków, a kończą na wspomnieniach o nas, o wyzwoleniu przez nas Grecji i innych podobnych krajów.

— Po pierwsze: muszę cię wyleczyć z ironii, majorze — powiedział zgryźliwie pułkownik. — Po drugie: czy nie przykro ci, że bekart, który być może jest tyleż samo mój, co i twój, nosi takie imię... imię, które...

— Zawsze mi u ciebie przeskądzał ten przesadny patriotyzm — powiedział major obracając się ku niemu.

— A dlaczego temu szczenięciu, temu bekartowi, który na pewno jest bardziej twój niż mój, nie dała na imię Sokrates czy Arystoteles? — przeszedł znów do ataku rozsierdzone Allegretti — Ja protestuję, przede wszystkim jako Włoch, jako wysoki oficer, a w końcu jako ojciec dość

U PRZYJACIÓŁ

ZSRR

Zagospodarowywanie olbrzymich obszarów Syberii oraz rozmach, jaki tym poczynaniom towarzyszy a także charakter ludzi walczących z tamtejszą przyrodą, od dawna pociągają twórców do ukazania tych procesów w postaci dzieł sztuki. W tym roku Nagrodę Leninowską otrzymała powieść sekretarza Zarządu Głównego Związku Pisarzy Kraju Rad Georgija Markowa — „Syberia”. Przemiany jakie zaszły na tej ziemi będą również przedmiotem trylogii filmowej, jaka powstała w studiach „Mosfilmu”, w reżyserii Andrieja Michalkowa-Konczalowskiego.

Reżyser filmu twierdzi, że daleki jest od zamiaru wciśnięcia go w ramy tematyki produkcyjnej. Chociaż akcja epopei będzie się toczyć w dalekiej syberyjskiej wiosce, zagubionej wśród tajgi i błot, los każdego z jej mieszkańców będzie związany z najważniejszymi wydarzeniami życia kraju: Rewolucja Październikowa i walka o ustanowienie władzy radzieckiej, kolektywizacja rolnictwa, wojna z hitlerowskim najeźdźcą i wreszcie — z początkiem zagospodarowywania bogactw naftowych.

Trylogia filmowa, której tytuł będzie brzmiał „Sybirada”, została zaplanowana jako dzieło wieloplanowe, ukazujące pół życia dwóch starych rodów chińskich, rdzennych Sybiraków. „Pokażemy — mówi reżyser — jak z pokolenia na pokolenie zmieniała się stare uobodowanie, zwyczaje, tradycje. Jak zmienia się sens życia ludzkiego. Starsze pokolenie widziało co tylko w uprawie ziemi, zaś nowe pokolenie naszych bohaterów dąży do wyzwolenia sił drzemających w tej wnetru”.

Zdjęcia plenerowe będą nakręcane w obwodzie timuńskim. Reżyser poszukuje obecnie wykonawców głównych ról.

„Sybirada” jest nowym etapem w twórczej biografii A. Michalkowa-Konczalowskiego, obfitującej w sukcesy dużej klasy. Wielka popularność zdobyły jego wcześniejsze filmy: „Szlacheckie gniazdo”, „Pierwszy nauczyciel” według powieści Czynniza Ałmatowa i „Wulaszek Wania”, według sztuki Czechowa. Ostatnim dziełem reżyserskim jest znana również w Polsce „Romanca o zakochanych”, która zdobyła zaszczytne nagrody na międzynarodowych festiwalach filmowych.

Moskiewski Teatr Wielki zakończył dwusetny, jubileuszowy sezon. Artyści kończyli go poza Moskwą: zespół operowy w Kijowie, a baletowy w Nowosybirsku. Te gościnne występy włączone były do programu uroczystości jubileuszowych.

Dla uczczenia jubileuszu Teatru Wielkiego zorganizowano też wiele wystaw tematycznie związanych z tą rocznicą, ukazały się okolicznościowe wydawnictwa, a także płyty. Miłośnicy muzyki otrzymali nowe nagrania oper „Chowańszczyzna” Musorgskiego, „Dama Płkowska” Czajkowskiego, baletów „Spartakus” Arama Chaczaturiana „Anna Karenina” Rodiona Szchedrina i wielu innych dzieł.

Obecnie w repertuarze teatru znajduje się 30 oper i 20 baletów. W minionym sezonie zespół przygotował dwie premiery baletowe: spektakle „Miłość za miłość” Tichona Chrennikowa, i „Angara” Andrieja Eszpała. Wznowiono również operę „Sadko” Rimskiego-Korsakowa. Najbliższymi premierami na tej scenie będą: „Otello” Verdiego i balet Glazunowa „Raimonda”.

Kiedy sześć lat temu zapadła decyzja, że XXI Igrzyska Olimpijskie odbędą się w Montrealu mer tego miasta, Jean Drapeau, wystąpił z programem „skromnego, taniego i opłacalnego” przedsięwzięcia. Po zakończeniu Igrzysk okazało się ono najdroższą imprezą w całej historii sportu; koszt: ponad jeden miliard 800 milionów dolarów kanadyjskich. Koszta tylko samego kompleksu stadionu olimpijskiego wyniosły ponad 700 milionów dolarów.

Po sześciu latach przygotowań, bezprecedensowych skandali, niekończącego się łańcucha strajków, aktów sabotażu i błędów w planowaniu jest prawdziwym cudem — pisze korespondent „Spiegla” — że Igrzyska w ogóle rozpoczęły się w terminie.

Montreal ma stare tradycje olimpijskie. Na długo przed tym, nim w Europie znalazła urzeczywistnienie idea francuskiego barona Pierre de Coubertina, prezesa Międzynarodowego Komitetu Igrzysk Olimpijskich w latach 1896—1925, miejscowa gazeta „Montreal Gazette” zamieściła informację o „pierwszych igrzyskach olimpijskich” w Montrealu, które odbyły się 29 sierpnia 1844 roku. Wtedy to program gier obejmował, m. in., skok wzwyż z miejsca, chód na jedną miłę, chodzenie w miejscu i bieg z taczkami, który wygrał Indianin Paqueca. Spotkały się one wówczas z tak gorącym przyjęciem, że członkowie „klubu olimpijskiego” w następnym roku — także w sierpniu — zorganizowali „drugie igrzyska olimpijskie”. Wszelako później Montreal na długo zapadł w „olimpijski sen”.

Kiedy 1 sierpnia tego roku zgasił znicz olimpijski, przysłał także entuzjazm organizatorów Igrzysk. Na tle luksusowych budowli olimpijskich uderza ubóstwo przedmieść. Wiele spośród tych wspaniałych kompleksów sportowych zbudowano dosłownie na kredyt. W długi wpadał i inni organizatorzy olimpiad nigdy jednak nie były one tak ogromne. Ale też i ani jedno miasto-gospodarz igrzysk nie podjęło tak lekkomyślnych decyzji jak Montreal, rujnujących gospodarkę miasta w imię kilkunastu dni olimpijskich zmagaj.

Montreal, który nie wyszedł jeszcze z trudności finansowych po zorganizowaniu Światowej Wystawy Przemysłowej „Expo — 67”, do momentu rozpoczęcia Igrzysk Olimpijskich musiał odpisywać 21 procent ze swego budżetu na opłacenie zaciągniętych długów. Teraz ta pozycja wydatków wynosi już 25 procent budżetu miasta, to jest około 600 dolarów (w rachunku) na głowę mieszkańca miasta. Obecnie same tylko długie Mont-

realu wynoszą prawie 300 milionów dolarów, w przybliżeniu sumę, którą zamierzało miasto wydatkować na przygotowanie Olimpiady. Rezultat: rząd prowincjonalny w Quebec wziął na siebie finansowanie inwestycji olimpijskich ratując w ten sposób letnią Olimpiadę, ale mieszkańcy Montrealu muszą teraz zapłacić wysoką cenę za lekkomyślność i nienasyconą budowlaną gigantomanę mera miasta dalszym ograniczeniem samodzielności Montrealu, wstrzymaniem inwestycji miejskich itp. itd.

Drapacze chmur przytłaczają zielony masyw miasta. Ukwiecony niegdyś i cienisty Montreal zajmuje dziś, pod względem powierzchni terenów zielonych, ostatnie miejsce wśród siedemnastu największych miast Kanady. Stopień zanieczyszcze-

niem było przekazanie w ręce rządu w Quebec, w listopadzie 1974 roku, kontroli nad przygotowaniem do Olimpiady w Montrealu.

Już od kilku lat ludność prowincji Quebec żąda ingerencji władz prowincjonalnych, żeby zahamować niestanny wzrost cen i położyć kres katastrofalnym wprost stratom materialnym powodowanym przez strajki i akty sabotażu podczas realizacji olimpijskich inwestycji. Ale dopiero kiedy sytuacja stała się już nieomal beznadziejna, a Drapeau był nawet gotów zaangażować cały swój autorytet, umiędlony taktyk Bourass uznał za stosowne włączyć się do sprawy. Uzbrowiony w ustawy i postanowienia władz prowincjonalnych w Quebec odegrał rolę „zbawcy Olimpiady”, nie dając na nią ani jednego centa z pro-

NAJDROŻSZY „CUD ŚWIATA”

nia środowiska jest także najwyższy: każdego dnia 9,24 miliarda litrów nie oczyszczonych wód ściekowych spływa do rzeki Świętego Wawrzynca. Montreal dźwierz w Kanadzie jeszcze jeden smutny rekord: na każde 100 tysięcy mieszkańców miasta przypada 148,5 napałów rabunkowych.

A jaki los czeka wioskę olimpijską? Otóż władze podjęły decyzję iż po zakończeniu Igrzysk nastąpi wyprzedaż budynków olimpijskich na wolnym rynku. Liczy się na zwrot kosztów w wysokości około 50 milionów dolarów. A zatem są w istocie subsydia na mieszkania dla zamożnych montrealczyków.

Teraz już nie dziwi fakt, że premier rządu prowincji Quebec, Robert Bourass, coraz częściej kładzie rękę na te dziedziny gospodarki miejskiej, które zaniedbywał mer Montrealu i które są dziś przedmiotem krytyki mieszkańców miasta. Obecnie nawet policja w Montrealu podlega bezpośrednio kontroli władz prowincji, ponieważ w upartej konfrontacji ze związkami zawodowymi Drapeau musiał w końcu zabiegać o pomoc organów nadrzędnych i zastosować specjalne ustawy władz prowincjonalnych. Nic dziwnego, iż kolejnym

wincjonalnej kasy. Swoją część „olimpijskiego długu” rząd w Quebec już spłacił. Wytarczyło tylko podnieść podatek od wyrobów tytoniowych i przedłużyć terminy latery państwowej. „Długi rozwijał się wraz z dymem tytoniu” — cieszył się Bourass.

Ale oto zbliżają się poolimpijskie kłopoty, i to nie byle jakie. Władze prowincji zarządziły natychmiastowe wstrzymanie wszystkich prac według projektu, który przewidywał budowę w Montrealu kilku stacji metra, mostów oraz rekonstrukcję ulic. Czerwony olówek szefa władz prowincji skreślił także plan budowy kompleksu przemysłowo-mieszaniowego wartości miliarda dolarów, który miał powstać w pobliżu gigantycznego portu lotniczego Mirabell.

To „bagnu korupcji”, o którym mówił niedawno spiker opozycji w radzie miejskiej Montrealu, ujrzeli dziś mieszkańcy tego miasta w całej jego okazałości. Tydzień przed rozpoczęciem Igrzysk kompanię budującą wioskę olimpijską oskarżono o oszustwo wobec czterech podwykonawców. Ale nie chcą mieć olimpijskiego święta, proces postanowiono rozpocząć dopiero w sierpniu.

JERZY CZECH

(J. C.)

TROPAMI HANNIBALA

Jesienią tego roku z francuskiego miasteczka Livron wyruszy sześć stoni kierując się w stronę Alp. Zostaną poprowadzone marszrutą, którą przebyły w 218 roku przed naszą erą stonie Hannibala. Było to najtrudniejsze przejście przez Alpy, uwieńczone następnie wojskowym sukcesem.

Widomo, iż w owym sławnym pochodzie brało udział 37 stoni i 26 tysięcy ludzi. Próba powtórzenia teraz tej przeprawy przez Alpy będzie o wiele skromniejsza, jeśli chodzi o skalę. Stonie, sprowadzone drogą powietrzną z Tajlandii gdzie używano je w górskich rejonach kraju do prac leśnych, będzie prowadzić grupa pięćdziesięciu osób, na czele z 42-letnim Wolfgangiem Zeunerem, entuzjastycznym wielbiciele Hannibala.

W okresie ostatnich dziewięciu lat Zeuner lansuje ideę sforsowania Alp wiodąc ze sobą stonie. Jest farmaceutą, inżynierem i uczniem, mieszka w wielkim staromodnym domu farmerskim w Herford, w Anglii.

Na uczestników ekspedycji czekają w drodze śnieg, chłód i wreszcie wejście na wysokość 10 tysięcy stóp. Podczas tej niezwykle wspinaczki stonie, w celu zabezpieczenia ich przed upadkiem i stoczeniem się w przepaść, będą powiązane linami.

Większą część marszrutę tej ekspedycji będzie prowadzić starożytnym tropem, którym w wiekach średnich podążały karawany mułłów. Warto wspomnieć, iż karawany dostarczały sól z Camarg zły z zachodu na wschód, a na ich spotkanie szły inne, wiozące specjalnie ze Wschodu. Spotkawszy się w górach, wymieniali towary i zawracali.

Alpy ciągną się łańcuchami szczytów w kierunku południowo-zachodnim i przejście ich będzie serią podejść w górę i zejść w doliny. Przepuszcza się, iż właśnie w tych dolinach Hannibal zarządził postoje swojej armii.

Za każdym razem po zejściu w doliny będą oczekiwać na ekspedycję samochody ciężarowe z karmą dla stoni. Każdy ston musi zjeść do 150 kilogramów karmy dziennie (siano, koncentraty, marchew i kartofle). W październiku na szczytach Alp powinien już spaść pierwszy śnieg i posuwanie się w tych warunkach nie będzie bynajmniej łatwe.

„Ostatnia przełęcz będzie z pewnością najtrudniejsza — mówi Zeuner. Przy schodzeniu mamy zamiar używać dwóch stoni w charakterze „kotwicy” dla trzeciego, sprowadzającego z góry przy pomocy liny i specjalnej uprzęży. Sądzę, iż będzie to niezwykle dramatyczne widowisko.

RUCH NIEZAANGAŻOWANYCH NA KONFERENCJI W KOŁOMBO

Kraje niezaangażowane. To określenie rozciąga się dzisiaj na większość państw świata. Najczęściej jednak odnosi się do krajów Azji, Afryki, Ameryki Łacińskiej. Przeważnie zresztą młodych swą państwowością, tych, które dopiero po II wojnie światowej uzyskały niepodległość. Wiele z nich nie chciało się identyfikować z krajami imperialistycznymi, ale też nie było gotowych do zbliżenia się pod względem politycznym i gospodarczym do krajów socjalistycznych. Obraty więc droge trzecia — niezaangażowania się po stronie żadnego z bloków. Tak rozdziła się nowa tendencja we współczesnym świecie.

Dziś ruch niezaangażowanych stanowi dużą siłę polityczną, oświadczając się za światowy pokój, likwidacja resztek kolonializmu i rozwojem równoprawnej współpracy gospodarczej, nieograniczonej żadną z form neokolonializmu oraz wspierającą dążenia narodo-wyzwoleńcze.

Przed 21 laty w Bandungu, głównie z inicjatywy Indii, zebrało się 29 państw Azji i Afryki, aby przyjąć określone zasady współistnienia. Dąły one impuls do rozwoju polity-

ki niezaangażowania, której zasady sprecyzowano na dyskusji. Kiedy to już się stało w 1961 roku odbyła się w Belgradzie I konferencja krajów niezaangażowanych. W dyskusji, która toczyła się na najwyższym szczeblu, dominowały problemy walki z kolonializmem i jego nowymi postaciami, miejsca tych krajów w walce o pokój i rozbrojenie.

Konferencja belgradzka dała początek następnym, okresowo organizowanym, które kolejno zbierały się w: Kairze (w 1964 roku), Lusace (1970) i Algierze (1973).

W dniu, w którym oddajemy komentarz do druku, rozpoczyna się piąta już konferencja, tym razem w Kolombo. Pierwsze to zatem spotkanie niezaangażowanych na kontynencie azjatyckim, na którym praktyczny proces dekolonializacji został zakończony. Ten fakt — pisze „Ceylon Daily News” — ma swoją wymowę. Azjaci pragną, aby konferencja odzwierciedlała ewolucję ich kontynentu ku większej solidarności gospodarczej i większej niezależności politycznej.

Obrady szczytu poprzedziło zebranie się Biura Koordynacyjnego Ruchu Niezaangażowanych, w skład

którego wchodzi przedstawiciele 17 państw oraz konferencja ministrów spraw zagranicznych z 84 państw. W tej ostatniej wziął również udział przedstawiciel Organizacji Wyzwolenia Palestyny, która jest pełnoprawnym członkiem ruchu niezaangażowanych.

Jak się dowiadujemy, ministrowie omawiali projekty dwóch zasadniczych dokumentów — deklaracji politycznej i deklaracji gospodarczej, które mają być przyjęte przez szczyt.

Przewiduje się, że w pierwszej wielce uwagi poświęci się przekształceniu Oceanu Indyjskiego w strefę pokoju, co — jak wyraził się jeden z komentatorów — postawi na lawie oskarżonych Stany Zjednoczone usiłujące rozszerzyć swoją obecność wojskową w tym rejonie, w drugiej natomiast dominować będą żądania ustanowienia nowego międzynarodowego porządku gospodarczego. Chodzi tu głównie o to, aby „producent surowców mógł korzystać z proporcjonalnie większego udziału w cenie produktu finalnego”, gdyż ceny artykułów przemysłowych „wzrosły zupełnie nieproporcjonalnie do wzrostu cen produktów, służących do ich wytwarzania”. Cytaty te, jak pisze pra-

sa zachodnia, pochodzą z wstępnego projektu deklaracji.

Piąty szczyt krajów niezaangażowanych jest dużym wydarzeniem międzynarodowym. Zebrał się przeciwieństwie w sytuacji odprężonej w świecie, w rok po Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, która dla naszego kontynentu ustaliła zasady pokojowej, aktywnej koegzystencji. Mogą one być przydatne w dyskusji nad zapewnieniem światowego pokoju i współpracy państw również na innych kontynentach.

Polska do ruchu niezaangażowanych przywiązuje wielkie znaczenie. Kraje te odgrywają bowiem ważną rolę w rozwoju współpracy międzynarodowej, w walce o pokój i postęp. Są one też naszym liczącym się partnerem handlowym. W niedalekim czasie udział tzw. Trzeciego Świata w polskich obrotach handlowych ma się powiększyć do 20 proc., co ilustruje wzajemne zainteresowanie rozszerzeniem kontaktów.

Wypełniliśmy dziś miejsce, przeznaczone na aktualia międzynarodowe, jednym tylko tematem. Wynika to z roli, jaką ruch niezaangażowanych spełnia we współczesnym świecie. Rozwastwienia, jakie w nim nastąpiły, nie zmieniają faktu, że w swej masie pozostaje on wierny zasadzie, która jeszcze sformułował Nehru: niezaangażowanie nie ma nic wspólnego z biernością, nie będziemy bowiem bierni nigdy tam, gdzie wolność i sprawiedliwość są zagrożone lub też dochodzi do agresji.

W. SŁAWSKI

„DOKOŁA WOJTEK”

Cwiek, spoglądając na życie „Lewym okiem”, dostrzega bardzo często rzeczy i sprawy, których my nie dostrzegamy, patrząc na nie dwoma oczyma. Inaczej można też powiedzieć, że w swoich felietonach otwiera nam oczy, ukazując powściągliwie sprawy trochę inaczej widziane. To sprawia, że od lat jest uważnie czytany przez tych, którzy wyrwali towarzyszą „Odgłosom”, jak i — można do myślać się — potrafili zainteresować tych, którzy od czasu do czasu sięgają po tygodnik.

Ostatnio jednak przeczytałem coś u Cwieka, co zmusiło mnie do zaprotestowania. Po prostu — Cwiek się myli. Zrobił to w felietonie zatytułowanym „Dookoła Wojtek”. A myśli się w dwu sprawach.

Cwiek pisze: „Trzydzieści lat temu profesor C. E. Lipman w Kalifornii ogłosił na posiedzeniu naukowego towarzystwa badania meteorów wyniki swych wieloletnich badań, stwierdzając, że we wnętrzu większych meteorów znalazł... bakterie”. I dodaje, że wiadomość o bakteriach we wnętrzu meteorów jakoś się nie potwierdziła i „poszła w zapomnienie”.

Otoż nie, Rzecz wcale nie poszła w zapomnienie. Wręcz przeciwnie. Takie badania prowadzi się nadal. Mają one swoich zwolenników i mają swoich przeciwników. I jeśli zwolennicy badania meteorów zanotowali jakoweś sukcesy w tej dziedzinie, to zawiązują to tylko... przeciwnikom. Przeciwnicy bowiem zmusili do wielkiej ostrożności w formułowaniu ostatecznych wniosków. Niektóre bakterie znalezione w meteorach dostały się tam już na ziemi.

Jednakże sama idea nie jest błędna. Potwierdzają to rezultaty jakie osiągnęli biologowie na Antarktydzie. Stało się to w 1973 roku podczas wierceń geologicznych tego kontynentu. Zadaniem biologów była ochrona środowiska Antarktydy. Mieli pilnować, aby nie przeniosły się tam różne bakterie, aby nie dostały się one w głąb ziemi. Dlatego odkażano świdry, a próbki ziemi wydobywanej z głębi umieszczano w rozwiornych pojemnikach dla bakterii, aby mieć całkowitą pewność, że niczym nie skażono tego ładu. I jakież było zdziwienie Franka Morelli z Instytutu Darwin w Kalifornii, kiedy stwierdził, że na jednej z próbek aż rol się od bakterii. Zdziwienie jego było tym większe, że bakterie te pochodziły z głębokości 126 metrów i nieczym nie przypominały tych, z którymi współżyli ludzie w naukowej bazie, a które przywieźli z innych kontynentów. Wielokrotnie powtórzył swoje badania i zawsze z tym samym wynikiem. Okazało się więc, że geolodzy wydobyli ziemskie bakterie, które żyły co najmniej przed setkami lat i które tyle czasu przetrwały pod lodami Antarktydy. Potwierdza to tylko pogląd o możliwości przetrwania bakterii w meteorach blakających się w kosmicznej próżni.

Uczniowie trwale kontrolują meteoroidy, jakie docierają do naszej Ziemi. Badają nawet te, które spadły przed wieloma laty i leżały gdzieś w małych muzeach. W ten sposób w 1962 roku Bartholomew Nagy i George Claus z Nowego Jorku zainteresowali się meteoroidem, który spadł 14 maja 1864 roku i po jego zbadaniu stwierdzili, że znajdują się w nim skamieniałe algi. Ponieważ 14 maja 1864 roku w pobliżu wioski Orgueil spadł deszcz meteoroidów, odszukano jeszcze kilka innych i zalecono w nich pięć różnych innych nie znanych na Ziemi skamielin. Co prawda przeciwnicy odnajdywania eozokolowców w meteoroidach doszli do wniosku, że odkryto tylko nie znane na Ziemi minerały.

Alc zwolennicy szukania śladów życia w meteoroidach nie poddali się. Poprzednie wnioski uczonych nie poszły w zapomnienie. I w 1969 roku Cyril Ponnamperna zbadal meteoroid, który spadł w pobliżu australijskiego miasteczka Murchison i stwierdził — po pierwsze — że meteoroid ten ma co najmniej 4,5 miliardów lat a więc jest rówieśnikiem Ziemi, a — po drugie — w jego wnętrzu znajduje się 16 aminokwasów elementarnych składników białka, w tym 11 nie znanych na Ziemi.

Mieli się również Cwiek, kiedy próbuje przeciwstawiać hipotezie ingerencji przybyszów z Kosmosu hipotezie istnienia tu na Ziemi wysokiej cywilizacji, która została zniszczona. Takie koncepcje nie są obce ludziom interesującym się przeszłością ludzkości i były one znacznie wcześniejsze niż choćby koncepcje Erica von Danikena. Na temat istnienia legendarnej Atlantydy napisano już całe biblioteki. Ale okazuje się, że istnieje podobna hipoteza, mniej znana i bardziej kontrowersyjna, na temat istnienia drugiego zaginionego ładu — tzw. ładu MU, albo PACYFIDY. Między innymi wyspy: Wielkanocna, Tahiti, Samoa, Cooka i inne są pozostałościami tego ładu. Istnieje szereg faktów, które potwierdzają tę hipotezę. Istnieje też szereg wątpliwości. Jedną jest dziwne. Ludzie zamieszkujący się tajemnicami przeszłości naszej planety ustalają hipotezyne daty zatopienia ładu Mu i Atlantydy mniej więcej w tym samym czasie, około 12 tys. lat temu.

Są też inne hipotezy potwierdzające domysł Cwieka, że na tym najdalszym ze światów cywilizacja rozwijała się na zasadzie „dookoła Wojtek” i że każda następna nie wie wie o poprzedniej, choć to i owo może sugerować pewne domysły. Na przykład kamienie z Ica, Jednak dopiero badania kosmiczne nasuwały ludziom zupełnie inne skojarzenia i inną interpretację różnych zagadek. Czy kiedyś dowiemy się, jak to było?

KRZYSZTOF PIEKARZEWSKI

U PROGU KANIKULY

W artykule „U progu kanikuly”, który na użytek Waszego poczytnego pisma w okresie upałów „wysmażył” za państwowe pieniądze niejaki(a) Pan (i) Widok (zob. „Odgłosy” 1973 nr 26) znalazłem następującą informację skonstruowaną na podstawie „opowieści gminnej”:

„(...) w prasie społeczno-kulturalnej trwa dyskusja nad projektem programu języka polskiego w szkole dziesięcioletniej. Czytam te uwagi (krytyczne głównie) podpisane nazwiskami znanych historyków literatury, krytyków, pisarzy, publicystów i zadaje sobie pytanie: „Jeśli ci znani ludzie zgłaszają krytyczne uwagi, to kto, u licha jest a u t o r e m programu. Okazuje się, że bliżej nie znany p. Frycie”.

Ponieważ Pan(i) Widok prawdopodobnie poza swoimi notatkami prasowymi niczego więcej nie czytuje, a swoje doniesienia prasowe opiera na informacjach zbieranych wśród kumoszek w oplotkach wiejskich, pozwałam sobie przesłać fotokopię pierwszej strony programu języka polskiego opublikowanego w „Polonistyce” (1976 nr 2), z której będzie mógł wreszcie poznać autentycznych twórców i konsultantów tego dokumentu. Pragnę zauważyć, że są wśród nich znani historycy literatury, językoznawcy i dydaktycy. Nie ma natomiast wśród nich „bliżej nie znanego p. Frycie”, który legitymuje się obszerną bibliografią prac historycznoliterackich (nie znanych Panu(i) Widokowi (Widok), ale to już inna sprawa, skoro się czytuje tylko własne doniesienia prasowe). Nie ma więc potrzeby, aby jego dorobek pisarski pomnażał nieuczciwi sprawozdawcy prasowi. Pragnę poinformować Pana Redaktora, że włas-

ne publikacje podpisuję nie pseudonimami, lecz swoim prawdziwym nazwiskiem.

Mam nadzieję, że zgodnie z dobrymi obyczajami, obowiązującymi w prasie, list ten bez skrótów i zniekształceń ukaże się w Waszym poczytnym piśmie.

Z poważaniem doc. dr STANISŁAW FRYCIE

Od Redakcji:
Doc. dr Stanisław Frycie, dyrektor Instytutu Programów Szkolnych, „legitymuje się obszerną bibliografią prac historyczno-literackich”, wie zapewne, jaka jest różnica między „notatką prasową” a felietonem. (zob. Słownik Terminów Literackich). Podobna różnica istnieje między „sprawozdawcą prasowym” a felietonistą.

Dla porządku więc tylko zaznaczam, że tekst „U progu kanikuly” był felietonem. Czuję się jednak w obowiązku przeprosić doc. dr Stanisława Frycie za określenie go mianem a u t o r a projektu. Doc. Frycie nie jest autorem, lecz dyrektorem Instytutu, w którym program powstał.

Alc nie nie poradzę na fakt, że doc. Frycie utożsamia się w polemikach z owym programem. Alnie Kowalczykównie („Polityka” nr 26) zarzucił np., że oceny krytyczne formułowała w oparciu o „ustny przekaz ludowy”, mnie — że piszę „na podstawie opowieści gminnej”. Moje kwalifikacje do zabierania głosu na ten temat uważa doc. Frycie za żadne, może bym i w to uwierzył, ale pociesza mnie fakt, że o krytycznym artykule A. Kowalczykówny pisze jako o... bezprawiu. Węcej tu zatem irytacji niż argumentacji.

I jeszcze jedno. Pisze doc. Frycie, że felieton „wysmażyłem za państwowe pieniądze”. Zgadza się. Chciałbym tylko wiedzieć, czy projekt programu „wysmażony” był za pieniądze prywatne?

Z poważaniem

WIDOK

„BIBLIA”
W KINIE

Z reżyserem Wytworni Filmów Oświatowych — LESZKIEM SKRZYDŁO rozmawia Lucjusz Włodkowski.

Leszek Skrzydło jest autorem: scenarzystą, komentatorem i reżyserem pięciu filmów z serii: „BIBLIA”. — Jak do tego doszło? Kiedy zrodził się pomysł? — pytamy.

— Ten cykl ma swoją prehistorię. Ale czy jest sens do niej sięgać?

— Dlaczego nie.

Wcześniej dobrze. Zaczęło się to jeszcze w czasach, kiedy działałem w STS „Pstrąg”. W tym teatrze wystawiliśmy między innymi „Niebieski klucz”, a rzecz — jak wiadomo — oparta była na „Biblii”.

— Ale wtedy jeszcze daleko było do filmu.

— O tak. Sam pomysł filmu zrodził się później. Ukazało się wtedy pierwsze wydanie „Opowieści biblijnych” Zenona Kosidrowskiego. Zgłosiłem nawet wtedy pomysł w Wytwórni, ale popatrzone na mnie jakoś tak dziwnie.

— A mimo to.

— Tak. Tylko, że znów minęło trochę czasu i zmieniły się warunki. Wtedy Wytwórnia tworzyła nowe cykle tematyczne i znalazły się w nich również tematy światopoglądowe. Powróciłem więc do pomysłu filmu o „Biblii”.

— Miał to być tylko jeden film?

— Taki był zamysł. Ale szybko zorientowałem się, że gdybym tylko chciał wymienić i króciutko scharakteryzować same tytuły ksiąg i rozdziałów, to nie starczyłoby mi na to zaplanowanych 15 minut. Trzeba było do tego podejść inaczej. I tak powstały pierwsze trzy filmy z cyklu „Biblia”.

— To znaczy?

— Pierwszy: „Co to jest Biblia?”, drugi: „Opowieści biblijne” i trzeci: „To też jest Biblia”.

— A później powstały dalsze dwa.

— Tak. „Rękopisy znad Morza Martwego” i „Według Nowego Testamentu”.

— I na tym jeszcze nie koniec?

— Nie.

— Co zdecydowało, że cykl będzie kontynuowany?

— Pierwsze trzy filmy z cyklu „Biblia” spotkały się z wielkim zainteresowaniem. Miałem ogromną ilość spotkań: ze studentami, wojskiem, młodzieżą, z ludźmi dorosłymi, w klubach Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej i tak dalej.

— Dla kogo film ten był przeznaczony?

— Robiłem go z myślą o kinie. Adresat musiał więc być jakoś sprecyzowany. Tym adresem dał mnie być po prostu człowiek myślący.

— A jednak w kinie trudno było spotkać te filmy.

— Kino Łódzkiego Domu Kultury zorganizowało taką projekcję, na której pokazano całość. Podobno projekcja ta cieszyła się dużą popularnością. Wiem o tym z opowiadań, bo w tym czasie nie było mnie w Łodzi.

Całość pokazała również telewizja w cyklu „Fakty, Hipotezy, Opinie”. Podobno TVP otrzymała po takiej projekcji wielką ilość listów, ale do mnie nie dotarł ani jeden, a nasza telewizja nie ma zwyczaju informowania o czymś takim autora.

— Ciekawy jestem, jaki był ton dyskusji nad tymi filmami?

— Bardzo różny. Przystępując do realizacji tego cyklu założyłem sobie maksymalny obiektywizm. Chciałem pokazać to wszystko, co na temat „Biblii” zgromadziła nauka w ostatnich czasach. Miał to być nie mój pogląd na „Biblię”, ale relacja o naukowej interpretacji. I widzę to odebrał. Ale jak to bywa w dyskusjach, mówiono o filmach w różnym tonie i z różnych pozycji.

Szczególnie utkwiła mi w pamięci wypowiedź bileterki jednego z kin,

w którym odbywała się projekcja i dyskusja. Powiedziała ona, że filmy jej się bardzo podobały, że ogląda się je z zainteresowaniem, słucha się z uwagą. Ale kiedy ona wieczorem wyjdzie na dwór, kiedy popatrzy w niebo, na Księżyc i gwiazdy, to żadna nauka nie może jej tego wytłumaczyć, skąd to się wszystko wzięło i jak do tego doszło. Jednakże sam fakt, że musiała to powiedzieć, że film zmusił ją do zastanowienia się — wiele dla mnie znaczył.

Pytano mnie na przykład, kto mi sugeruje tematy, wybiera problemy, podsuwa? Odpowiedziałem, że gdybym sam tego wszystkiego nie przemyslał, gdyby mnie to nie interesowało, to nie byłoby tych filmów, nie byłoby tych dyskusji. A konsultanci są po to, aby czuwać, czy moje propozycje i koncepcje są zgodne z nauką. I tę rolę spełnili znakomicie.

Zarzucono mi wreszcie, że ikonografia do filmów pochodzi z różnych epok, że nie jest jednorodna. Sam to czuję, ale mogłem korzystać tylko z tego, czym dysponowałem w kraju.

I jeszcze spotkałem się z takim zarzutem, że filmy te zachęcają do lektury „Biblii”. To bardzo dobrze, bo jak to zauważył ktoś, kto nie był zresztą entuzjastą dyskusowania nad „Biblią”, filmy te traktują „Pismo Święte” jako lekturę świecką. Jeśli więc zachęcam do takiej lektury, to — powtarzam — bardzo dobrze.

— „Biblia” nie jest u nas książką najpopularniejszą. To znaczy często się o niej mówi, mało kto ją natomiast zna. A dopiero samodzielna lektura „Biblii” wiele spraw, o których słyszało się, ukazuje w zupełnie innym świetle.

— Sposób, w jaki przyjęto najpierw pierwsze trzy części cyklu „Biblia”, a później wszystkie pięć, wykazuje, że istnieje zapotrzebowanie na tego rodzaju tematykę. Postanowiłem więc — mimo, że nosiłem się z innymi pomysłami — kontynuować nadal ten cykl.

— Jakże będą dalsze części?

— Będą dwie następne: „Dzieje Apostolskie” i „Apokalipsa”. Ale tu wynikła pewna trudność. Wyeksplloatowaliśmy już dokładnie materiały dostępne w kraju i trzeba było ruszyć do teatru biblijnych wydarzeń. Na początku tego roku przez kilka dni kręciłem się we Włoszech.

— A następnie?

— Wyruszyliśmy całą ekipą w dłuższą podróż po Grecji, Turcji i Syrii. Mieliśmy w planie też Irak, ale nie wyszło. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie dotrzemy do wszystkich krajów, które były miejscem biblijnych wydarzeń.

— W telewizji widziałem wasz reportaż z Aleppo, a więc wasza ekipa zajmowała się nie tylko kręceniem materiału do filmów o „Biblii”.

— Jak już byliśmy z kamerą na Bliskim Wschodzie i jak trafialiśmy na Polaków i jak trafialiśmy na ciekawe sprawy, to jasne, że robiliśmy reportaż filmowe. Przywieźliśmy z naszej podróży sporo różnego materiału. Przede wszystkim do obu zaplanowanych filmów, a więc do „Dziejów Apostolskich” i „Apokalipsy”. Ale też zebraliśmy filmowy materiał do „Wędrówek Patriarchów”, który to film powstanie w innym już cyklu: „U źródeł religii”. Zebraliśmy materiał do filmu o prehistorii „Biblii”, do filmu o Sumerach. W Syrii spotkaliśmy Polaków, którzy w ramach ONZ pracują nad nawodnieniem Pustyni Syryjskiej.

Bardzo chcieliśmy zobaczyć Pustynię Syryjską, bośmy ją sobie trochę wyobrażali na wzór Sahary. Ale jest

to coś zupełnie innego. Jak twierdzą specjaliści, a zjechali się tam oni z różnych krajów, pustynia ta ma niezwykle urodzajną ziemię, której potrzeba tylko wody. Zbudowano już tam i tworzy się system nawadniania. Japończycy, którzy też tam pracują, postanowili założyć pola doświadczalne pod uprawę ryżu. Spodziewali się wysokich plonów, ale rezultaty przesyła ich najmielsze oczekiwania. Plon był dziesięciokrotnie wyższy.

W Syrii spotkaliśmy Ewę Krzyżewską, która nawet nie widziała swego ostatniego filmu nakręconego w Polsce. Okazało się, że jest tam z mężem, który też jest jednym z polskich specjalistów pracujących przy nawadnianiu Pustyni Syryjskiej. Rozwiązanie tego problemu, nad którym patronuje ONZ, ma kolosalne znaczenie dla Bliskiego Wschodu, bowiem Syria, wraz z Pustynią Syryjską, ma być już w niedalekiej przyszłości spichrzem dla tego rejonu świata.

— Należy się więc spodziewać reportażu na ten temat.

— Tak. Byliśmy również w gościnnie u polskich żołnierzy, którzy w ramach Sił Zbrojnych ONZ pełnią służbę na Wzgórzach Golan. Odwiedziliśmy polskich naukowców w starożytnym mieście Palmyra na Pustyni Syryjskiej. Spotkaliśmy tam między innymi Józefa Gazego, tego samego, który zdejmował freski w Faras, a który teraz w Palmyrze ratuje największą ze znanych kopii rzeźby Ateny Fidiasza.

Zrobiliśmy też z myślą o łódzkiej telewizji 15-minutowy reportaż o całej naszej podróży. Myślę, że przyda się on jako swego rodzaju uzupełnienie pracy nad cyklem poświęconym „Biblii”, a ukazującym pewien fragment naszych wysiłków.

— Sądząc po rezultatach i zamierzeniach była to bardzo interesująca podróż.

— Interesująca i wyczerpująca.

— Ale i owocna.

— Nie byłaby taka owocna, gdyby nie pomoc, jaką udzielił nam nasz placówka dyplomatyczna. Jesteśmy serdecznie wdzięczni za to.

— Mam nadzieję, że ci, którzy zainteresowali się pierwszymi pięcioma filmami o „Biblii” będą z zainteresowaniem czekali na kolejne. Ale przy okazji mam inne pytanie. Ostatnio „Biblia” budzi zainteresowanie również tych naukowców, którzy na pewne fragmenty przeszłości ziemskiej cywilizacji patrzą pod innym kątem i z innego punktu widzenia. Mam tu na myśli choćby amerykańskiego inżyniera Josepha Blumricha, czy przedstawione na kongresie w Czikwenicy w Jugosławii, w maju tego roku, referat prof. dr I. S. Lisjewicza — członka Akademii Nauk ZSRR, który w interesujący sposób interpretował niektóre podania biblijne. Czy przypadkiem...

— Czy przypadkiem nie korci mnie, aby również i tak spojrzeć na „Biblię”. Korci. Ale jest to zupełnie inny temat. Zupełnie inny film.

— Może nawet cykl filmów.

— Być może. Wiem nawet, że u nas w Wytwórni ktoś się tym interesował. Czy coś z tego będzie? Nie wiem. Ale — powtarzam — to zupełnie inna sprawa. Ja sobie założyłem — o czym już wspominałem — maksymalną obiektywizację. Celem cyklu „Biblia” jest pokazanie tej księgi w świetle tego dorobku nauki, jaki w wyniku prac badawczych, porównawczych, wykopalisk, nagromadził się w ciągu — powiedzmy — ostatnich 100 lat. Wprowadzenie do tego hipotez najświeższych i w gruncie rzeczy tylko hipotez, mogłoby cel mój pomniejszyć, postawić go w innym świetle.

— Rozumiem. Zmieniliby to i sam zamysł i charakter tych filmów.

— Chyba tak.

— Ale z drugiej strony, jeżeli konfrontacja „Biblii” z dorobkiem nauki uzewnętrznia jej świecki charakter, pokazuje, że jest to zbiór różnych przekazów o wydarzeniach z dawnych, bardzo dawnych i to bardzo różnych czasów, to pokazanie, że można też traktować tę księgę jeszcze w inny sposób, cel ten tylko by pogłębiło. Takie jest przynajmniej moje zdanie.

— Dla mnie jednak byłoby to już zupełnie inny cykl innych filmów. Będę się cieszył jeśli coś takiego powstanie.



ODWIEDZINY

W serii Współczesna Proza Świata ukazała się powieść „Odwiedziny”, której autorem jest jeden z najwybitniejszych pisarzy duńskich Svend Aage Madsen. Ma już na swoim koncie kilkanaście powieści, a także nagrodę Duńskiej Akademii Literatury, która w roku 1972 otrzymała za całokształt twórczości, a szczególnie za wydaną w 1971 roku powieść „Zaloty ze światła”.

„Odwiedziny” to debiut Madsena. Książka ukazała się w roku 1963. „Odwiedziny” to powieść przypominająca nastroszy, refleksyjny film puszczony w zwolnionym tempie. To podobieństwo do filmu podkreśla jeszcze bardziej sugestywna, bardzo specyficzna technika pisarska zastosowana przez Madsena, technika przypominająca bardzo drobiazgowo, dopracowany do najdrobniejszych szczegółów scenariusz. O twórczości Madsena tak pisze wydawca: „...szuka prawdy o człowieku, o świecie i życiu, o postawie człowieka wobec świata. Dochodzi do wniosku, że prawda nie istnieje, co nie napędza go do rozpaczy ani nie porzuca nadziei. Przeciwnie, uważa, że zrozumienie tego faktu uwalnia człowieka od wielu przesądów i ograniczeń”.

Svend Aage Madsen — „Odwiedziny”, przełożyła M. Bevo, PIW, Warszawa 1976, str. 135, cena zł 25,—

ERYSTYKA

Ta niepozorna książeczka ze wszech miar zasługuje na uwagę czytelnika. W przedmowie tak pisze o niej prof. Tadeusz Kotarbiński: „...dzie autorowi o takie chwytliwy, których używają w sporze ci, co za wszelką cenę i za cenę prawdy, słuszności, poprawności wywodu — chcą koniecznie „postawić na swoim”, zrobić tak, żeby było uznane, że oni mają rację. (...) Bardzo dobrze, że ukazuje się w przekładzie polskim ten jego dawny utwór zasługujący na przypomnienie. Wszak dobrze jest uprzytomnić sobie różne możliwe fortele wykretnie, aby wiedzieć, na co można być narażonym w sporach z ludźmi nierzetelnymi. A tym pożyteczniejsza ta książeczka, że bardzo mało na ten temat można przeczytać po polsku”.

Autorem książeczki jest Arthur Schopenhauer, którego chyba nie trzeba przedstawiać, a jej pełny tytuł brzmi: „Erystyka czyli sztuka prowadzenia sporów”. I jeszcze mały fragment z dzieła Schopenhauera: „Jeśli się spostrzeże, że przeciwnik jest silniejszy i że w końcu nie będzie się miało racji, to atakuje się go w sposób osobisty, obraźliwy, grubiański. Polega to na tym, że (mając i tak już sprawę przegrana) porusza się przedmiot sporu — zamiast tego atakuje się osobę przeciwnika w jakikolwiek bądź sposób; można by to nazwać argumentem ad personam, (...)” Znamy to? Oczywiście. Znamy i postugulemy się w dyskusjach również wieloma innymi metodami wymienionymi przez Schopenhauera. Warto więc zapoznać się z „Erystyką”, choćby po to, żeby w odpowiednim momencie powołać się na Schopenhauera. Przeciwnika dyskusji zatka z wrażenia. To też metoda.

Arthur Schopenhauer — „Erystyka czyli sztuka prowadzenia sporów”, przełożyli: B. i L. Konorscy, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 99, cena zł 10,—

„DO SĘPÓW PÓJDE”

Wydana w roku 1969 w „Meksyku” powieść, której polski tytuł brzmi „Do sępów pójdę”, doczekała się już w swoim kraju pełnastu wydań, a w lutym 1971 roku uniwersytet i rząd stanu Sinaloa nagrodził ją jako najcenniejsze dzieło literackie roku. Powieść została przyjęta entuzjastycznie przez recenzentów i jeden z najwybitniejszych krytyków meksykańskich Emilio Abreu Gómez określił ją jako „arcydzieło realizmu poetyckiego w literaturze meksykańskiej”. „Do sępów pójdę” to frapująca opowieść prostej kobiecie z ludu, opowieść, w której bogaty materiał dokumentalny poddany jest doskonałej obróbce literackiej. Powieść powstała w podobny sposób, jakim posłużył się znany socjolog amerykański, autor niedawno wydanego u nas „Nagiego zycia”, Oscar Lewis. Socjologiczno-literacka metoda stosowana przez Lewisa i autorkę książki „Do sępów pójdę” polega na zbieraniu materiału przy pomocy magnetofonu. Oczywiście pozwala to na zachowanie maksymalnego autentyzmu wypowiedzi, języka, atmosfery. Jest nią słów kilka zresztą trzeba powieścić autorce. Jest nią znana pisarka i publicystka meksykańska — Elena Poniatowska. Protoplastką rodu, z którego wywodzi się pisarka, był Stanisław Ciołek Poniatowski. Elena Poniatowska pracuje obecnie w dzienniku „Novedades”, wyklada na wyższych uczelniach, uczestniczy w wydarzeniach kulturalnych i artystycznych w Meksyku. W roku 1969 po raz pierwszy odwiedziła Polskę.

Powieść Poniatowskiej „Do sępów pójdę” ukazała się w Serii Prozy Iberoamerykańskiej Wydawnictwa Literackiego.

Elena Poniatowska — „Do sępów pójdę”, przełożyła B. Babad, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976, str. 363, cena zł 50,—

„LEKTURY I PROBLEMY”

Z tej książki powinni ucieszyć się i nauczyciele, i uczniowie liceów. „Lektury i problemy” to książka, która na pewno będzie świetną pomocą naukową do lekcji języka polskiego, ponieważ są pomyślane jako pozycja uzupełniająca podręczniki i istniejące opracowania i omówienia tych lektur, które zostały wprowadzone do programu nauczania literatury w liceum w wyniku przeprowadzonej ostatnimi laty reformy.

„Lektury i problemy” to wybór artykułów z cyklu, który pod tym samym tytułem, ukazywał się w „Tygodniku Kulturalnym” w latach 1969—1973. Książka podzielona jest na trzy części. Pierwsza, najkrótsza, omawia kilka wybranych, najbardziej dyskusyjnych problemów literatury od czasów średniowiecza do XIX wieku. Druga — poświęcona jest literaturze XX wieku, począwszy od okresu Młodej Polski, jest to najbardziej obszerny fragment książki. Wreszcie, na część trzecią składają się szkice omawiające problematykę teoretyczną i socjologiczno-literacką, a także sprawy związane z porażaniem literatury i zabytkami literatury z innymi dziedzinami aktywności twórczej. Większość artykułów dotyczy literatury polskiej, choć uwzględniono również parę pozycji z literatury obcej umieszczonej w programie szkolnym.

Wybór i opracowanie „Lektur i problemów” dokonał Janusz Maciejewski.

„Lektury i problemy”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1976, str. 734, cena zł 60,—

„WIEŻA STRAŻNICZA”

Nazwisko Any Marli Matute pojawiło się w hiszpańskiej prasie literackiej w roku 1947, w związku z publikacją jej debiutanckiego tomu opowiadań. W rok później ukazała się jej pierwsza powieść „Los Abel”, która krytyka hiszpańska i zagraniczna zgodniście oceniła bardzo wysoko. Tematyka w wielu powieściach Any Marli Matute jest ściśle związana z hiszpańską rzeczywistością lat trzydziestych, z wzięcia wojny zawsze widzianej oczyma dziecka.

Przełożona obecnie na język polski powieść „Wieża strażnicza” ukazała się w roku 1971 i według oceny krytyków jest najlepszą powieścią w dotychczasowym dorobku pisarki. Powieść ta otwiera nowy etap twórczości Any Marli Matute, mianowicie prózę kreatywną. W „Wieży strażniczej” czytelnik znajdzie wymiagany świat eokii średniowiecza z jego zwyczajami, obrzędami i symbolami, z ludźmi, których problemy są jednak takie same jak problemy człowieka żyjącego współcześnie.

Ana Marli Matute — „Wieża strażnicza”, przełożyła K. Wojciechowska, Czytelnik, Warszawa, 1976, str. 296, cena zł 30,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

LEPIEJ, ŁATWIEJ...

Przez lamy prasy społeczno-kulturalnej przetoczyła się burzliwa dyskusja o antykwarium. Nie jest to problem marginalny, bowiem wiadomo, że nie stać nas na przemiał książek, które mogą jeszcze powrócić do czytelnika w formie rękopisów.

Schody zaczynają się dopiero przy pytaniu: „jak to zrobić”? Antykwarium stanowią marginesy czytelniczego rynku, skup prowadzą niewielki i to raczej pozycje naukowe, encyklopedyczne, a nie beletrystyki. W tej sytuacji szereg książek już przeczytanych, a nie prezentujących wartości na tyle trwałych, by je warto włożyć do prywatnego księgozbioru — trafia na przemiał.

Droga książki — już przeczytanej — do nowego czytelnika jest więc praktycznie zamknięta. Weźmy zresztą przykłady z

łódzkiego podwórka. Antykwarium współczesny przy ul. Wschodniej, to raczej kiosk, a nie księgarnia. Jak tu można zmieścić te tysiące pozycji? Ostatnio antykwarium przy Piotrkowskiej otrzymał nowe pomieszczenie parę domów dalej. Bardzo dobrze, tylko... To nowe pomieszczenie wcale nie jest większe od poprzedniego!

A więc sytuacja bez zmian. Ale są zmiany. Ktoś wpadł na pomysł, aby w normalnych księgarniach uruchomić „stoiska antykwaryczne”. Pozornie jest to myśl genialna, ale niestety. Pomysł jest bowiem szatański.

Otóż jest to rozwiązanie idealne do sprawozdań. „Chcieliście antykwarium — no to je macie!” Ale przecież specyfika antykwarycznego handlu książką jest zupełnie nietypowa. W ramach normalnej księgarni stoisko antykwaryczne nie może prawidłowo funkcjonować za-

równo z uwagi na brak specjalistów jak i inne zadania całej placówki. W praktyce więc będzie to lada z paroma zasarganymi „kryminalami” — nic poza tym. Z antykwarium pozostanie tylko nazwa.

W sprawozdaniu brzmi to będzie imponująco: „uruchomiliśmy trzysto stoisk antykwarycznych”. W praktyce jest to droga po linii najmniejszego oporu. Bo tak najwygodniej.

Przypomina mi to nasze słynne łódzkie, największe w Europie, przejście podziemne przy Dworcu Fabrycznym. Oczywiście — nie brak w Łodzi miejsc, gdzie przejście podziemne jest potrzebne. Ale są to miejsca, gdzie panuje duży ruch. Tam właśnie budowa przejścia podziemnego jest kłopotliwa. Więc dlatego zbudowano przejście w miejscu, gdzie ruch jest niewielki. Ot, cała tajemnica. Podobnie w handlu książką.

Łatwiej odfajkować kilkanaście stoisk niż otworzyć pięć prawdziwych antykwarium.

O tym, że najlepiej pracować najłatwiejszymi metodami wiedzą od dawna Polskie Koleje Państwowe. Kasy PKP są zdolne sprzedać nawet milion biletów na pociąg, w praktyce więc będzie to pięćset osób i to na stojąco. Łatwiej bowiem sprzedać bilet niż dowieźć pasażera na miejsce. A więc — lepiej łatwiej.

Dotyczy to także „Totolotka”, który bez sprzeciwu sprzedaje graczom każdą ilość kuponów. Schody zaczynają się dopiero z chwilą wygrania, o czym — jak pisała doniosła — przekonał się Tadeusz M. z Warszawy. Niefortunnie gracz „trafił” pół miliona, ale dostał tylko informację, że „Totolotek” nie ponosi odpowiedzialności za zagubienie własnych kuponów. W takiej sytuacji i lepiej i łatwiej nie grać wcale, nie jeździć pociągami i przechodzić ulicę tylko przy Dworcu Fabrycznym.

WIDOK

HISTORIA MIASTA

PRÓBA UTWORZENIA POLITECHNIKI

Staraniem naczelnika Rządu Królestwa Polskiego Aleksandra Wielopolskiego powstał w Puławach w r. 1862 Instytut Politechniczny i Rolniczo-Leśny. Zgłoszono 600 kandydatów. Przyjęto drogą egzaminów 500. Zajął rozpoczęto dnia 1 października 1862 r. Jednak już 31 stycznia 1863 r. wybuchło powstanie. Już pod koniec roku 1863 powrócono do sprawy uczelni. Ale car Aleksander II zażądał oddzielenia studiów politechnicznych od studiów rolniczo-leśnych. W Puławach miał zostać tylko Instytut Rolniczo-Leśny.

Powstało zatem pytanie: gdzie ulokować uczelnię politechniczną? Uważano, że powinna ona powstać w okręgu przemysłowym. Sądono też, że najlepszym miejscem byłby Zgierz lub Łódź.

Zajął się tym Komisja Rządowa Oświecenia Publicznego. Przeprowadzono lokalną wizję w Zgierzu i Łodzi. Po złożeniu raportu przybył do Łodzi sam dyrektor Witte dla zapoznania się na miejscu z warunkami życia miasta. Zarówno mieszkańcy Zgierza, jak i Łodzi deklarowali rzadziwo daleko idącą pomoc. W piśmie z 10 grudnia 1864 r. adresowanemu do Rządu Gubernialnego Warszawskiego, mieszkańcy Łodzi pisali: „Łódź jako główne w kraju ognisko przemysłu na wzniośle zasługuje, aby podobna naukowa instytucja łącząc teorię z praktyką, w mieście tym założoną została”.

Miasto postanowiło „oddać bezpłatnie plac na zabudowanie gmachu instytutu i potrzebnych do tego budowli w takiej obszerności, jaką Rząd za stosowne uzna”. 301 mieszkańców podpisało pod petycją zapewniającą znaczną pomoc pieniężną, wynoszącą wielką, jak na owe czasy, sumę 75 000 rubli srebrnych. Za tę sumę miał być wybudowany gmach instytutu.

Dyrektor Witte w raporcie z 12 stycznia 1865 r. skierowanym do Naczelnika Królestwa Polskiego pisał, że: „Łódź z 38-tysięczną ludnością przemysłową trudniącą, leżąca w centrum przemysłowego kraju, jest najodpowiedniejszym miejscem dla projektowanego Instytutu”. Zwracał też uwagę na dogodną położeń Łodzi w stosunku do Warszawy, dzięki czemu łatwo można będzie sprowadzać pomoce naukowe dla uczelni.

Rada Administracyjna na posiedzeniu 17 lutego 1865 r. postanowiła między innymi: — Miasto Łódź uczynić siedzibą Instytutu — Zezwolić na rozpoczęcie wykładów i września 1865 r.

— Zezwolić na korzystanie z kredytów 60 tysięcy rubli znajdujących się w dodatkowym budżecie Komisji Rządowej Oświecenia Publicznego.

— Zezwolić na przyjęcie do miasta przez władze oświatowe ofiarowanych placów pod budowę gmachu uczelni.

Aby przyspieszyć otwarcie w Łodzi Instytutu, nie czekając na wybudowanie gmachu, postanowiono umieścić uczelnię w budynku Szkoły Powiatowej i w wynajętym budynku Pietera przy ul. Piotrkowskiej nr 277. Przeprowadzono remont i przygotowano pomieszczenia, które uczelnia mogła przejąć już 1 lipca 1865 r.

Miasto przystąpiło do przygotowania Instytutu Politechnicznego. Wybrano plac narażony przy zbiegu ulic Przejazd (obecnie Tuwima) i Dzikiej (obecnie Sienkiewicza), na przeciw budującego się kościoła. Ale obywateli dziękujących te place, do Rady Miejskiej zażądali tak wysokich odszkodowań, że zrezygnowano. W zamian wybrano wówczas place leżące między ulicami Widszewska (obecnie Killińskiego), Dziką i Nawrot. Rada Miejska na posiedzeniu 22 lutego 1865 r. zaakceptowała przejęcie tych placów. Ogłoszono konkurs na budowę gmachu. Nadstano 6 projektów. Sąd konkursowy wybrał projekt, którego autorem był Karol Martin, profesor architektury w Instytucie Politechnicznym i Rolniczo-Leśnym w Puławach.

W marcu i kwietniu 1865 r. zamówiono w Paryżu, Berlinie i Darmstadcie pomoce naukowe i sprzęt Zakupiono książki francuskie, niemieckie i angielskie. Zamówiono szafy biblioteczne i na pomoce naukowe, stoły laboratoryjne. Zakupiony sprzęt zaczął nadchodzić do Łodzi. We wrześniu i

październiku 1865 r. przygotowywano projekt ustawy i budżetu uczelni. Miała to być szkoła wyższa z trzech wydziałami: inżynierii cywilnej, mechaniczno-technicznym i inżynierii górniczej. Nauka miała trwać cztery lata. Kandydaci na studia wiani mieli mieć ukończonych 17 lat i posiadać świadectwo ukończenia gimnazjum.

Jak pisał Wincenty Łopaciński, Cesarz „zalecał mianowicie zachowanie ostrożności, tym bardziej, że uczniowie dawnego Instytutu Politechnicznego i Rolniczo-Leśnego w Puławach pod względem politycznym okazali się zupełnie nieprzymiślni. Dlatego też, biorąc pod uwagę, że miasto Łódź i jego okolice są gęsto zaludnione ludnością fabryczną, należy, by Naczelnik dopilnował, ażeby tworzonemu w Łodzi Instytucie Politechnicznemu nie nadawać od razu zbyt wielkich rozmiarów, żeby przez to zapobiec „zbytecznemu” napływowi młodzieży oraz żeby, układając Ustawę i wydając pierwsze rozporządzenia co do otwarcia Instytutu, zwrócić szczególną uwagę na ugruntowanie w Instytucie wpływu rosyjskiego i zabezpieczenie nadzoru rządowego”.

Ostatecznie Petersburg doszedł do przekonania, że Łódź nie powinna mieć takiej uczelni. Przygotowany w Łodzi projekt Ustawy o powstaniu Instytutu przesłano do Petersburga dla zatwierdzenia przez cesarza i... nie ujrzał on już więcej światła dziennego.

Łódź otrzymała Politechnikę dopiero w 1945 r.

TEODOR SUJCZYŃSKI

PROPOZYCJE

KOMÓRKI Huberta Wagnera

Bardzo potrzebne jest nam użycie dla dobrej roboty. Potrzebne dlatego, że jest jeszcze sporo złej roboty, niechlujstwa, bałaganiarstwa i po prostu lenistwa. I to zarówno tego fizycznego, jak i tego gorzkiego, bo umysłowego. Natura ludzka jest niezwyciężliwym i skłonna do działania po najmniejszej linii oporu. Aby było najłatwiej, ale tak postępując nie osiągnie się dużo. A my — jako społeczność — musimy osiągnąć bardzo dużo. Dlatego niezbędny jest społeczny szacunek i uznanie dla tych, którzy dobrze pracują.

Ala wokół dobrej roboty nagromadziło się też wiele nieporozumień. Nie wszyscy, mówiąc „dobra robota” zatańcawiają się, czy chodzi o solidność w wywiązywaniu się z obowiązków, czy też o coś więcej? Niekiedy do dobrej roboty podchodzi w sposób niezwyczajnie formalny, uważając, że jest to tylko należyte wypełnianie tego, co do nich należy. A to chyba nie tak.

Przyszedł do mnie znajomy, przyniósł ciężką pełną dokumentów. Pracuje w zakładzie im. Wincentego Pstrawskiego, który dawniej należał do przemysłu terenowego, a teraz do ZPDZ. „Lidzi” — Zrobiliśmy spotkanie z pracownikami, których dzieci osiągnęły dobre wyniki w nauce — powiedział. — Wysłałiśmy pisma do szkół, otrzymaliśmy opinie o postępach w nauce. Rodzicom dobrze uczących się dzieci wręczy-

liśmy pamiątkowe dyplomy z podziękowaniem. Napisz coś o tym.

— A po co to zrobiliście? — pytam. — Chcemy wyrobić w naszych pracowników przekonanie, że interesujemy się nie tylko tym, jak pracują, ale też i tym, jak im idzie w życiu rodzinnym.

Zamysł niewątpliwie pożyteczny. Ludziom bardzo potrzebne jest przeświadczenie, że ich codzienne wysiłki spotykają się z społecznym uzaniem, że są zauważane i doceniane. To jest bardzo ważne w kształtowaniu hierarchii społecznej wartości ludzkiego postępowania. Ale nie możemy się do przerozdzi w modne klejdy dziękowanie lekarzom i pielęgniarkom za to, że chcieli się opiekować chorymi. Takie podziękowania ukazywały się niegdyś na łamach gazet, jako ogłoszenia i wytworzyły przekonanie, że normalne spełnianie obowiązków przez personel szpitala jest czymś nadzwyczajnym. Takie rozumowanie może w konsekwencji doprowadzić do tego, że pogorzeli będą dziękować dzielnym strażakom za to, że zechcieli przyjechać i ugasić pożar, choć gazetem pożarów jest czynnością zawodową strażaków, za co otrzymują comiesięczną zapłatę.

Dobra robota jest więc nie tylko solidnym wykonywaniem zawodowych czynności, do których każdy z nas zobowiązuje się podpisując umowę o pracę, a pozwierdza to co miesiąc pobierając

w kasie zapłatę. Dobra robota to coś więcej. To przede wszystkim takie działanie, które zwykliśmy ostatnio nazywać — zacierpaną — sportowej terminologii — podnoszeniem poprzeczki, czyli stawianiem sobie celów wyższych od przeciętnych. Człowiek pracuje dobrze na ogół wtedy, kiedy praca daje mu zadowolenie, rozwija go, kiedy ma świadomość tego, że jest w tej pracy dobry i że powinien być jeszcze lepszy. Ale taka świadomość musi być społecznie potwierdzona. Wniewki ludzkiej pracy dostrzeżone i odpowiednio uznane. Nie tylko w formie materialnej.

Kogo stawiać za wzór? Tego, kto robi „odjad dotąd” i na więc, kto nie wysiła, czy tego, kto do rzetelności dodaje jeszcze własną iniejdziwne, pomysłu, wnosi coś nowego, dodatkową wartość. Oczywiście, że tego drugiego. Dlatego trzeba pochwalić mego znajomego Piotra B. z zakładu im. W. Pstrawskiego za pomyślność i zacheć, aby wspólnie z innymi szukać ciekawszych rozwiązań. Ale przykładem prawdziwie twórczej, dobrej roboty jest dla mnie trener siatkarki, Hubert Wagner.

Pamiętam ile to napisano różnych rzeczy o nim i na jego temat. W „Sportowcu” przeczytałem niedawno coś w rodzaju wyznania wiary Huberta Wagnera. W telewizji obejrzałem turniej olimpijski polskiej drużyny i jej walkę o złoty medal. Hubert Wagner

mógł odważyć swoją trenerską robotę i siatkarkę pętałyby się gdzieś po dolnych rejonach międzynarodowej tabeli. Ale on postawił przed nimi cel najwyższy i wybrał — jego zdaniem — najlepsze sposoby dla osiągnięcia tego celu. Praktyka, która jest jedynym sprawdzianem wszelkich teorii, pokazała, że wybrał sposoby najlepsze.

Hubert Wagner zmusił do pracy swoje szare komórki i zmusił do myślenia innych, którzy zdecydowali się pracować pod jego kierunkiem. Wymagał prostych rzeczy: dyscypliny, podporządkowania się założeniom taktycznym, konsekwencji. Opornych karał lub się z nimi rozstawiał, wychodząc ze słusznego założenia, że jeśli ktoś dobrowolnie podjął się iść z nim wspólną drogą, to tym samym zobowiązał się do konsekwencji, jakie ta decyzja z sobą niesie. Czy jest w tym coś nadzwyczajnego? Nie. Ale wokół niego i jego metod narosły miły i nieporozumienia.

Sa piszę nas ludzie, którym nie wystarcza przeciętność, którzy skłonni są stać podnosząc poprzeczkę w górę i osiągać wysoko mierzone cele. Są to ludzie, którzy podejmując się wykonania jakiejś pracy, uruchamiają swoje szare komórki. Takie podejście do pracy nazywamy twórczym. Jest to rzeczywiście dobra robota. I takich ludzi trzeba przede wszystkim stawiać za przykład. Choć czasami bywają kontrowersyjni. Albo nam się tylko tak wydaje.

MARCIN RODAK

magazyn

ZDZISŁAW KONICKI

ARCHIWUM ŁÓDZKIE — INSTYTUCJA POTRZEBNA

Zamiast wstępu

Jeśli kiedykolwiek wydamy w Łodzi — wzorem Warszawy — „Encyklopedię Łodzi” — hasło „ARCHIWUM ŁÓDZKIE” zajmie w niej nie tylko czołowe miejsce ze względu na pierwszą literę, ale głównie z powodu swego zasadniczego znaczenia, instytucji mającej wybitne osiągnięcia naukowo-badawcze w pracy archiwalno-historycznej.

Niejednokrotnie jeszcze w dużych kregach naszego społeczeństwa, słowo ARCHIWUM — kojarzy się ze zbiorem „pożółkłych, starych papierów czy dokumentów — rzadko komu potrzebnych”... W najnowszej encyklopedii (PWN 1975) znajdujemy informację, iż jest to... „instytucja powołana do gromadzenia stałego zbioru akt i dokumentów publicznych lub prywatnych, które utraciły wartość użytkową, a zasługują na zachowanie...” Natomiast Polski Słownik Archiwalny (1974 r.) określa archiwum, jako — „instytucję o charakterze urzędu administracyjnego, urzędu wiary publicznej oraz placówki naukowej powołanej do kształtowania, zabezpieczania, gromadzenia, opracowania oraz trwałego przechowywania i udostępniania materiałów archiwalnych, uprawiana do wydawania z nich uwierzytelionych odpisów, wypisów, wyciągów i kopii, a także publikowanie źródeł i pomocy archiwalnych oraz prowadzenie badań w dziedzinie archiwistyki...”

Spotykamy się czasami z niewłaściwym jeszcze stosunkiem do metod przechowywania i porządkowania „własnych domowych papierków” co w konsekwencji przenoszone jest do naszych zakładów pracy i na archiwa zakładowe. Urzędnicy zakładowi nie zawsze doceniają rolę swych archiwów, a archiwistów zakładowych traktują: „...coż, oni przecież nic nie produkują, a grzebią się tylko w nieużytecznych papierach”... Czasami i kierowników nie obchodzi dalszy los wytwarzanych przez własne zakłady akt i dokumentów. Są to ludzie którzy nie przywiązują większej wagi do własnych dokumentów prywatnych. Nie dziwnego, że po tym archiwistej państwowi natrafiają w makulaturze nieraz na cenne akta!

Inną, pierwszą formą opieki nad dokumentem są własne archiwa prywatne — powstające najpierw na własny użytek, a później dla rodziny i społeczeństwa. Prywatne archiwa przyda-

wały się niejednokrotnie naukowcom, uzupełniały historię miast, regionów i kraju, a materiały w nich zawarte stały się z czasem zabytkami kultury. Różne rodzinne kolekcje — pelne archiwali — dawały początek muzeom, bibliotekom i archiwom! Rozporządzenie o państwowym zasobie archiwalnym z 1957 r. sankcjonuje niejako fakt przechowywania pewnej części materiałów archiwalnych poza archiwami państwowymi. Za zasadę — uznaje się jednak ogólnie że zespoły akt urzędów i instytucji — gromadzi się w archiwach państwowych, które są i powinny być zasadniczą skarbnicą wiedzy o mieście, osadzie i regionie.

Przeciętny obywatel przychodząc do archiwum ma przekonanie, że wystarczy tylko powiedzieć swoje imię i nazwisko, nacisnąć przy tym jakiś guziczek czy otworzyć szufladę kartoteki i... archiwista wszystkie potrzebne w danej chwili „papierki” wyda, a więc: np. metrykę urodzenia, świadectwa szkolne, z uczelni, zaświadczenia o pracy (choćby nawet kilkadziesiąt razy zmieniał miejsce pracy...). W Archiwum — wszystko musi być — takie żądanie obywatelskie byłoby wtedy słuszne i możliwe do zrealizowania, gdyby przynajmniej większość obywateli dbała o to, aby „stare, niepotrzebne w danej chwili papiery” — dotarły do ich właściwego miejsca przechowywania — do archiwów państwowych. Niestety jest jeszcze inaczej. Dotąd dają się odczuć zniszczenia wojenne, a także nasze popospolite „reorganizacje” urzędów czy zakładów — gdyż i w takich sytuacjach, często giną akta — mimo stałej akcji uświadamiania, prowadzonej przez archiwistów i zabezpieczających „nieużyteczne” dla nich akta mówią o historii zakładu czy miasta, na otwartych publicznych wystawach archiwalnych.

Przekonujemy się o tym, gdy przychodzimy do Archiwum z interesem prywatnym, administracyjnym lub wtedy, gdy zalekał nas tematyka społeczna, historyczna, kulturalna, a stare „nieużyteczne” dla nich akta mówią o historii zakładu czy miasta, na otwartych publicznych wystawach archiwalnych.

Trochę historii w dniu dzisiejszym

Na początku — było Archiwum Miejskie, zwane też niekiedy Archiwum Akt Dawnych M. Łodzi. Jako wyodrębniona

Instytucja powstało w 1925/26 roku i podlegało Zarządowi Miejskiemu. Podobnie było w latach 1945—1951.

Od 1926 władze miejskie doceniały wagę i znaczenie dla miasta i jego kultury — „starych papierów” i umieściły je z honorami w dawnym ratuszu przy pl. Wolności 1. Archiwum egzystowało tu w piwnicy, na parterze i na strychu! Dopiero znacznie później przejęło cały budynek, tworząc w nim bibliotekę głównie historyczną, pracownię naukową z czytelnią, inne pracownie pomocnicze oraz magazyny akt.

Wszystkie dziedziny życia miasta, które pozostawiają ślad swej działalności w postaci akt, dokumentów, rękopisów, druków, map, planów, ilustracji, słowem w postaci wszelkiego materiału archiwalnego znajdują swe odbicie w Archiwum i są tu pieczołowicie przechowywane. Dokumenty te objaśniają dzieje i rozwój miasta i regionu, mówią o pracy i walce przezwyciężającej części mieszkańców Łodzi — klasy robotniczej.

Łódzkie Archiwum — dawno przestało być „magazynem starożytności” — dziś jest usługowym, żywym, reagującym na wszystkie przemiany społeczno-polityczne instytutem.

Mówi o tym i o wszystkich zasadniczych zagadnieniach archiwalnych ostatnio wydana pozycja, * zawiera ona działy traktujące o dziejach tej placówki, przedstawia działalność Archiwum w okresie PRL. Osobny rozdział informuje o aktualnym stanie zasobu archiwalnego w Łodzi i regionie.

Autor tego wydawnictwa — mgr Zbigniew Tobjański — obecny dyrektor Archiwum Łódzkiego w zwięzły sposób opisuje tu działalność naukową placówki, uwzględnia najnowsze zagadnienia jakimi żyje zreformowana, nowa sieć archiwalna i informuje o najnowszych ciekawostkach zasobu. Praca Archiwum rozwija się w kierunkach: archiwalnym (zawodowym), usługowym i naukowym.

W zakresie archiwalnym — prace polegają na zabezpieczeniu akt w Archiwum i w terenie; gromadzeniu wszelkich zabytków archiwalnych (z cennych akt sporządza mikrofilmy), ich porządkowaniu i konserwacji.

W zakresie usługowym służy w pierwszym rzędzie poszczególnym obywatelom — przez udzielenie informacji i wydawanie liczących zaświadczeń oraz uwierzytelionych odpisów na podstawie przechowywanych akt, także dla urzędów miejskich i z okolicy, służy konsultacjami dla archiwów zakładowych różnych władz i instytucji w zakresie prawidłowego przechowywania akt ich klasyfikowania, prowadzenia archiwów, brakowania akt, współpracuje z muzeami — dostarczając im cennych informacji i materiałów archiwalnych dla celów politycznych, wystaw i szeroko pojętej popularyzacji wiedzy historycznej i społecznej (dla filmu, teatrów, szkół itp.).

W zakresie naukowym — Archiwum udostępnia swe zbiory dla zespołowych i indywidualnych prac naukowych, głównie jeszcze z zakresu historii, nauk społecznych, prawa, geografii itd.

Archiwum dopuszcza do swych zbiorów ludzi nauki, profesorów, siły naukowe pomocnicze oraz studentów przygotowujących rozprawy dyplomowe, a w wyjątkowych wypadkach dla poważniejszych prac seminaryjnych.



Foto: Archiwum

TADEUSZ GICGIER FRASZKI O OWOCACH

TAK

Tak już się dzieje, że owocom najlaciej jest się wiązać nocą.

NAJBARDZIEJ

Najbardziej korci owoc niedojrzały, zwłaszcza, gdy człowiek jest już zramolany.

SMAK

Smak owoców doświadczenia to nie sprawa podniebienia.

NIERAD Z RAD

Wydały owoc rady, tyle, że jakiś błąd.

ZDARZAJĄ SIĘ

Doczekał się owoców pracy, bowiem zdarzają się i tacy.

PRZYKŁAD

Bezowocne usiłowania: kiedy ktoś muchy odgania.

FRASZKA DYSTRYBUCYJNA

Żle, gdy owoców południowych jest więcej niżli krajowych.

SĄ

Są i owoce niezdrowe: np. wino owocowe.

* „Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Łodzi 1926—1976”, druk ŁDD, VI, 1976.

JUŻ za kilka dni NOWY ROK SZKOLNY!

ODDZIAŁ HANDLU UBIORAMI „O T E X”
Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego w Łodzi
ZAPRASZA PO EKWIPUNEK SZKOLNY

do sklepów

w ŁODZI — PABIANICACH — ZGIERZU



2877/k